Nr. 14. Warszawa, dnia 4 Kwietnia (23 Marca) 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

FILOZOFIJA. NAUKI SPOŁECZNE. NAUKI PRZYRODNICZE. HISTORYA. JĘZYKOZNAWSTWO. SZTUKA.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Upaństwowienie aptek. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Za granicą, p. Cecylię Walewska. — *Badania naukowe:* Z innej beczki, p. Lud. Krz. — Filozofia, p. W. K. — Katechizm społeczny spirytystów, p. H. B. — *Literatura i sztuka:* Kobieta w powieści, p. N. B. — Literatura francuska, p. L. W. — Literatura niemiecka, p. Ladawę. — *Poezya:* Shelley. Oda do wiatru zachodniego, przeł. z oryginału Jan Kasprowicz. — *Życie społeczne:* Pamiętnik. — Kronikaa. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

UPAŃSTWOWIENIE APTEK.

Podniesiona przez pisma ruskie sprawa cen aptekarskich nie schodzi dotąd z porządku dziennego. Jak wiadomo, wprowadził ją pod obrady publiczne wypadek oznaczenia kilkudziesięciu cen za jedno lekarstwo w rozmaitych aptekach. Ktoś, zebrawszy te dowody, ogłosił je — jeśli nas pamięć nie myli — naprzód w *Now. Wremieni*, a następnie cała prasa ruska i polska przyjęła udział w tej kwestyi. Wyrachowano farmaceutom, że pobierają bajeczne procenty, oni zaś usiłowali zarobek zredukować do skromnych rozmiarów. Ostateczny wniosek długich rozpraw strony oskarżającej był ten, że trzeba taksę znacznie zniżyć i ustalić.

Musi ta sprawa jątrzyć szeroko uczucia i kieszenie ludzkie, skoro prawie jednocześnie wypłynęła na wierzch w Niemczech i odpowiednio do natury stosunków miejscowych splątała się z polityką. Mianowicie demokraci postawili w sejmie wniosek upaństwowienia aptek. Ogółem zakłady te (4,700) przedstawiają wartość 675 milionów marek. Ponieważ pewna ich część istnieje na mocy pozwoleń osobistych, które po śmierci obecnych właścicieli mogą być cofnięte, a zatem rząd, nabywając je, nie potrzebowałby płacić za klientelę, firmę, stosunki itd., tylko za sprzęty i towar; ponieważ zgromadziwszy w swem ręku wszystkie, mógłby po znacznie niższych cenach zakupywać materyały w wielkich masach; ponieważ mógłby je rozmieszczać dowolnie według widoków największego powodzenia i potrzeb ludności, prawdopodobnie więc zrobiłby na tem przedsięwzięciu bardzo dobry interes. Ze wszech stron też odzywają się głosy, nakłaniające go do tego przedsięwzięcia. Sami nawet farmaceuci, składający poważną cyfrę 11,000 osób, o ile nie są zadowolonymi z handlu właścicielami, przyjęliby radośnie tę zmianę, gdyż z oficyalistów prywatnych, podległych kaprysom pryncypałów, staliby się urzędnikami, ubezpieczonymi trwale na swych stanowiskach. Najwięcej naturalnie zyskałby ogół, który otrzymywałby lekarstwa tańsze i dobroci niepodejrzanej. Ten wzgląd kierował głównie wnioskodawcami, którzy, jako przedstawiciele ludu, mają nieraz sposobność przekonać się, o ile kuracya apteczna dla klas niższych jest zbytkiem i wydatkiem rujnującym. Nadto z dokonywanych systematycznie rewizyj przekonano się, że apteki niemieckie w obecnym stanie pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Tak w Badeńskiem na 428 tylko 82 uznano za „bardzo dobre,“ 239 za „dobre,“ 86 za „dostateczne,“ a 21 za „niedostateczne.“ Procent zatem złych bardzo duży. Wobec tego ich stanu, wobec niewątpliwych korzyści ogółu i nadziei zysków skarbu, upaństwowienie aptek w Niemczech wydaje się bardzo bliskiem urzeczywistnienia.

Prędzej czy później doznają one tego samego losu wszędzie, ale nie wszędzie taka reforma jest jednako dojrzałą. Różnice zależne są bowiem od warunków miejscowych, wpływających odmiennie na sprawę dobra publicznego. One zaś jest tu względem głównie rozstrzygającym. Bo chociażby państwo zyskało odrazu i zyskiwało ciągle na skupie aptek, jeżeli one nie będą przedstawiały dostatecznej rękojmi w wyrobie i rozprzedaży lekarstw, społeczeństwo przejdzie z deszczu pod rynnę. Maszyna służby publicznej w Niemczech działa prawidłowo, ściśle, z najmniejszą może częstością nadużyć. Tę samą sumienność, którą tam urzędnik okazuje w kancelaryi, objawiać będzie w aptece, bo cały naród jest wyszkolony, wymusztrowany, karny, głęboko poczuciem obowiązku przeniknięty. Nie spotykamy tego gdzieindziej. Tak np. kto miał sposobność zetknięcia się z urzędnikami włoskimi, mającymi bardziej rozwiniętą stronę *bierną*, niż czynną, ten nie wątpi, że za łapówkę mógłby od nich dostać wszelkich, najsurowiej zakazanych narkotyków i trucizn.

U nas apteki są w posiadaniu prywatnem. Po za drożyzną, do której zresztą upoważnia je taksa, przyznać musimy, że ilość wypadków niedbalstwa, kryjomej sprzedaży środków szkodliwych i wogóle wykroczeń jest bardzo nieznaczna. Po części surowa odpowiedzialność, po części tradycya, zobowiązująca do rzetelności w postępowaniu, powstrzymuje te zakłady od partactwa i nadużyć. Nie są one, jak gdzieindziej, sklepami przeróżnych wytworów, ale oficynami naukowemi i ten swój wyższy charakter starają się utrzymać. Jeśli zaś na prowincyi farmaceuta nie zachowuje ściśle przepisów, winę zmniejszyć mu należy tem, że nie mógłby istnieć z samych recept lekarskich, których miewa bardzo mało, że musi ulegać felczerom, którzy owładnęli całą niemal praktyką śród ludu, że więc same warunki rozgrzeszają go z wielu czynności, którychby w innych się ustrzegł.

Jeżeli tedy względnie możemy być zadowoleni ze stanu naszych aptek, to nie powinno zajmować myśli naszej upaństwowienie ich, ale tylko uprzystępnienie biedniejszym klasom ludności za pomocą zniżonej taksy. Pod tym względem reforma jest niezbędna i zapewne wkrótce nastąpi. Bezskuteczną pozostanie wszelka organizacya taniej pomocy lekarskiej dla ubogich, jeżeli środki aptekarskie będą ciągle zbytkiem. Przypuściwszy nawet, że w obliczeniu przeciwników obecnej taksy jest wiele przesady, w każdym razie upoważnia ona do pobierania takich procentów, o jakich żadne inne przedsiębiorstwo nie ma wyobrażenia. Zważmy zaś, że artykuły apteczne, będąc kosztownymi, są zarazem przedmiotami koniecznej potrzeby. Jeżeli

kawior lub ostrygi są za drogie, można ich nie jeść; ale trzeba jeść chininę lub żelazo, cokolwiek kosztują, skoro tego wymaga zdrowie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zakręcił się znowu wir w życiu Bułgaryi i spłynął krwią. Dwu ministrów, Stambułowa i Bełczewa, napadli wieczorem spiskowcy. Pierwszego, choć przeciw niemu były głównie wymierzone, ominęły kule rewolwerowe; drugi padł, ugodzony śmiertelnie i najniewinniej, bo do polityki mało się mieszał. Otoczono ogród, przy którym rozegrała się ta scena, a następnie całe miasto— zbójców jednak (miało być czterech) nie ujęto. Znaleziono tylko w krzakach dwa rewolwery, które właściciel sklepu z bronią poznał, gdyż przed paru dniami sprzedał je nieznanym osobistościom. W doraźnych i na oślep czynionych łowach zaaresztowano wielu podejrzanych, a między nimi Karawełowa; przestępcy wszakże, za wykrycie których wyznaczono 20,000 fr. nagrody, nie zostali dotychczas ujęci. Wszystkie gazety zgadzają się w przypuszczeniu, że morderstwo to miało pobudki i cele polityczne, uplanowane zaś było dla zgładzenia Stambułowa, faktycznego rządcy kraju.

Traktat handlowy Niemiec z Austryą, pomimo silnego przeciwdziałania rozmaitych żywiołów z obu stron, dobiega do kresu. Będzie to dość ścisła unia celna, a wiadomo z historyi Prus, że jest to wypróbowane pierwsze ogniwo, po którem pójdzie długi łańcuch dalszych spojeń. Czy ten traktat będzie miał takie następstwa, jak zawarty ongi ze związkiem północno-niemieckim, orzec trudno; ale to pewna, że dąży on w tym samym kierunku.

Rocznica urodzin ks. Bismarka (1 kwietnia), to największe *prima Aprilis*, jakie spotkało Europę, obchodzona bywa bardzo uroczyście. I tym razem posypały się telegramy, listy, dary i deputacye. Dotychczas nie wiadomo, czy cesarz przyjął udział w tym obchodzie. Jeżeli nie, objawił wyraźnie, że z byłym swoim „chorążym“ nie chce mieć żadnych stosunków.

Pod naciskiem opinii publicznej, zgorszonej nowem odkryciem, rząd niemiecki przygotował pośpiesznie projekt uczciwszego zużytkowania procentów od 16 milionowego funduszu Welfów, niż żywienie „gadzin“ i inne sposoby „odpierania zamachów króla Jerzego,“ których rachunki trzeba było „palić.“ Wkrótce sejm zajmie się tą sprawą, a jeżeli Caprivi zechce bronić swego poprzednika, ciężkie będzie miał zadanie, pomimo że ubył mu tak groźny przeciwnik, jak Windhorst. Pozostał Richter— a ten wystarczy.

Włochy tak zagniewały się na Stany Zjednoczone za odmowę zadośćuczynienia w sprawie morderstwa, dokonanego w N. Orleanie, że odwołały swego posła. Właściwie musiały tak postąpić, skoro raz stanęły w obronie swych zabitych opryszków. Ale po co było tak gorliwie za nimi się ujmować? Tłum, wymierzając sobie bezsądną sprawiedliwość na więźniach, dopuścił się gwałtu, ale czegóż nie dopuściły się te jego ofiary! Ileż one popełniły mordów i łotrostw!

Według ostatnich wiadomości wrzenie w Hiszpanii ogarnęło już kraj cały. Wszędzie występują objawy przygotowującego się wybuchu, usiłującego wprowadzić rzeczpospolitę. I ten rokosz może będzie stłumiony, ale zanim król-dziecko dorośnie, czy jego opiekunowie zdołają utrzymać wzburzone żywioły w karbach?

Prezydent Carnot otrzymał wysoki order ruski św. Andrzeja. Wywdzięczając się za to odznaczenie w jednej z mów podniósł bardzo wysoko uczucia przyjacielskie Francyi dla Rosyi. Było to pierwsze jawne wyrażenie tych uczuć ze strony prezydenta Rzeczpospolitej, który dotychczas milczał, pozostawiając ministrom wytykanie kierunku polityki francuskiej.

BADANIA NAUKOWE.

Z INNEJ BECZKI.

Przed kilku tygodniami, z powodu książki prof. Kowalewskiego o rozwoju własności i rodziny, zrobiliśmy uwagę, że poszukiwania w zakresie obu tych instytucyj, zwłaszcza zaś ostatniej, należą dzisiaj do będących niejako w modzie. Nie sądziliśmy, aby niebawem wypadło nam znowu poruszyć te same zagadnienia. Mamy właśnie przed sobą nowo wydaną (w języku francuskim) w „Międzynarodowej bibliotece naukowej“ książkę profesora uniwersytetu w Kopenhadze, K. N. Starcke'a. Autor występuje przeciw wszelkim dotychczasowym zdobyczom wiedzy socyologicznej w dziedzinie studyów nad rodziną, a zatem zaprzecza pierwotnemu bezładowi płciowemu, odrzuca prawo macierzyste jako poprzedzające rodzinę ojcowską, nie przyznaje monogamii jako ostatecznego dopiero ogniwa w kolejnem przekształcaniu się tej instytucyi. Wyroki jego o autorach przeciwnego poglądu brzmią nieraz bardzo ostro. Tak np. o Morganie odzywa się w sposób następujący: „Podziwiając całą gorliwość, z jaką Morgan prowadził poszukiwania, jesteśmy wszakże tego samego zdania, co i Mac Lennan, mianowicie, że poglądy jego są nie naukowe, lecz mrzonką, snem gorączkowym i opierają się na rozbiorze tak słabym, na psychologii tak mało ścisłej, że jedynie wprowadzają w błąd.“ W wielu miejscach podobnie dostaje się Bachofenowi, tu i owdzie Spencerowi i Mac Lennanowi... Naturalnie, przedewszystkiem nasuwa się pytanie, czy badacz duński zasługuje na jakąś uwagę i czy pracy jego nie należy uważać za pocisk chybiony, za coś w rodzaju protestu umysłów zachowawczych przeciwko postępowi wiedzy. Bliższe zapoznanie się z książką Starcke'a ukazuje nam człowieka, stojącego na gruncie metodologii naukowej, znającego doskonale cały nowoczesny rozwój socyologii w zakresie rodziny, umiejącego uważnie podpatrzeć różne słabe strony przeciwnego obozu i wyzyskać. *Rodzina pierwotna**) jest w całem tego słowa znaczeniu dziełem naukowem, które — w naszem rozumieniu — lubo nie obala zasadniczych twierdzeń, zdobytych pracami Mac Lennana, Giraud Teulona, Morgana, Lipperta i in., jednakże zmusza rzeczników tego kierunku do nowego rozpatrzenia wszystkich swoich założeń, powtórnego sprawdzenia zależności pomiędzy różnymi faktami i głębszego udowodnienia niektórych twierdzeń. Starcke należy do tych krytyków, których istnienie jest warunkiem dalszego postępu wiedzy. A trzeba przyznać, że jął się niełada zadania. Nietylko bowiem musiał dotknąć poglądów podstawowych, lecz całego mnóstwa punktów drugorzędnych i dać nowe wyjaśnienie najrozmaitszym obrzędom: kuwady, umyczki, lewiratu, niyogi itd.

Przyjrzyjmy się jednakże z blizka wywodom Starcke'a, przedewszystkiem zaś jego

*) *La famille primitive.*

ZA GRANICĄ.

Zmęczeni kilkogodzinną przechadzką wzdłuż brzegów morza, wróciliśmy do hotelu wcześniej, niż zwykle. Książka, którą przeczytaliśmy tego dnia, naprowadziła nas na temat rozmowy o doskonałości urządzeń społecznych za granicą.

— Gdyby u nas idee humanitarne były rozwinięte tak wysoko! Gdyby szpitale nasze, domy przytułków, pomoc dla chorych i nędzarzy tak znakomicie była uorganizowana, jak w najustronniejszym zakątku kraju tutejszego! — powtarzaliśmy co chwila. Staś cytował szereg przeczytanych opisów; ja komentowałam je myślą i słowami.

Gawędę naszą przerwała „Mädchen,“ zastukawszy do drzwi. Na głos mój: „herein“ weszła, aby, jak zwykle wieczorem, posłać nam łóżka i przynieść wody. Była blada, oczy miała podkrążone, wyraz jej twarzy i każdy ruch zdradzał silne zmęczenie. Patrząc na nią, spytałam:

— Co ci jest?

Odpowiedziała mi, że piąty raz z rzędu kładzie się spać po dwunastej w nocy, a wstaje przed trzecią zrana; że jedzenie przytem ma liche i pomieszczenie nędzne.

— Musisz za to zarabiać dużo pieniędzy? — rzekłam, spojrzawszy na nią i wyczekując potwierdzającej odpowiedzi.

— Dostaję tylko to, co od gości — odparła mi na to.

— Jak to, więc właściciel hotelu nie płaci wam stałej pensyi? — zapytałam.

— Nie — odrzekła, jakby zdziwiona mojem pytaniem. Tu u nas niema tego zwyczaju. Kelnerzy, my, posługacze, wszystko to na łasce gości. Czasami zdarza się tak, że ktoś, kogo obsługujemy przez tydzień, wyjeżdża, nic widząc nas wcale: wtedy, naturalnie, nic nie dostajemy. Nas, służby, tak dużo! Gospodarz musiałby wydać masę pieniędzy, gdyby chciał każdemu zapłacić...

— A gospodarz wasz bogaty?—zapytałam.

— Oho — odpowiedziała mi — i jak jeszcze!.. Od pięciu lat co rok prawie wystawia nową willę dla gości, jedna od drugiej wspanialsza. Przytem w banku złożonych ma już niemało pieniędzy. Żona jego i dzieci ubierają się ślicznie! On sam teraz jeszcze zajmuje się wszystkiem, ale niedługo pewnie złoży cały interes na brata swego i wyjedzie do Berlina, aby odpocząć. Żeby tylko każdy miał tyle, co on! Gdyby mu przyszło płacić nam, służbie, nie dorobiłby się ani połowy takiego majątku, jaki ma teraz; i cóżby mu przyszło wtedy z hotelu?

Uważała to za najzupełniej naturalne, że jej kosztem ktoś dorobił się pięciu willi i szeregu listów zastawnych. Nie miała żalu za nieprzespane noce, za margarynę, którą smarowano jej chleb, zamiast masłem. „Das Personal ist so gross!“—powtarzała z tem zabawnem seplenieniem i przeciąganiem niektórych zgłosek, jakie mają duńki, mówiące po niemiecku. Cóżby gospodarz mógł zarobić, gdyby chciał płacić im wszystkim?

Starsza „mamselle“ wywołała ją od nas. Inaczej — byłaby rozmawiała z nami do północy, opowiadając o pracy, jaką ma, o wydatkach, na jakie jest narażona, będąc zmuszoną kłaść co parę dni świeże perkalowe suknie, których pranie wynosi kilkadziesiąt fenigów za każdym razem.

Wzdychała ciężko, ale nie ubolewała nad swoim losem: był on koniecznością, prawom niezmiennem. Właściciel hotelu i pięciu willi został stworzony na to, aby nie był w stanie przejeść swoich dochodów: ona zaś i cała reszta pozostałej służby musiała z natury rzeczy przyczyniać się do dobrobytu swego pana.

— Gdyby tylko goście zawsze wiedzieli, że nam powinni płacić, że my nic od gospodarza nie dostajemy! — dodała, wychodząc.

Oburzaliśmy się niejednokrotnie na wyzysk służby w upominaniu się o napiwki.

stanowisku metodologicznemu. Morgan, Mac Lennan i in. w swoich poszukiwaniach nadają olbrzymie znaczenie różnym zwyczajom, jako objawom szczątkowym po mniej lub więcej dalekiej przeszłości. Np. prawo macierzyste, heteryzm religijny, poliandrya itd. są to takie pozostałości z dawnych czasów po pierwotnym bezładzie małżeńskim. Tymczasem badacz duński sprowadza do zera całe znaczenie tego rodzaju faktów, o ile są one oświetlane ze stanowiska teoryi. Natomiast usiłuje wyjaśnić wszystkie te objawy za pomocą istniejącej teraźniejszości, jako następstwo ekonomicznych stosunków otoczenia. „Większość uczonych wyjaśnia zwyczaje za pomocą faktów przeszłości, niekiedy już zupełnie zamkniętej... Lecz czy nie udałoby się wytłomaczyć ich stosunkami otoczenia? Co więcej, nie wolno nam postępować inaczej, jeśli nie posiadamy wiarogodnych świadectw historycznych, upewniających nas, że kiedyś zwyczaje te istniały.“ Między innemi o sławnem twierdzeniu Morgana, że systemy pokrewieństwa jeszcze wciąż trwają, wówczas kiedy odpowiadająca im forma rodziny już zaniknęła, Starcke mówi: „Nie wierzymy, aby rysy zasadnicze systemu pokrewieństwa utrzymały się długo po rozprzężeniu się tego ustroju społecznego, którego ów system był płodem; niema bowiem dowodów, żeby ustrój społeczny ulegał szybszemu lub wolniejszemu przekształceniu, niż nomenklatura pokrewieństw.“ Naturalnie, jeśli przyjmiemy te podstawowe poglądy metodologiczne Starcke'a, musimy zgodzić się na mnóstwo dalszych jego wniosków. Ale właśnie owo stanowisko metodologiczne jest najsłabszą stroną *Rodziny pierwotnej*. Wszak pewien zwyczaj ubiegłych czasów może przetrwać, podczas gdy całość, z której pochodzi, znikła, lecz przetrwał on tylko dlatego, że odpowiedział wymaganiom nowego otoczenia. Nasze rękawiczki są np. szczątkową pozostałością tej epoki, kiedy używano ich na wojnie dla okrycia ręki. Dzisiejsze jednak zastosowanie zgoła nie odpowiada tradycyom przeszłości. Jak więc pogodzić to pochodzenie szczątkowe a przeznaczenie, nadane przez chwilę bieżącą? Powtóre, zgoła nieuprawnioną jest nieufność Starcke'a do poglądu, że forma wciąż jeszcze trwa, mimo iż treść uległa zmianie (zachowanie się wzajemne systemów pokrewieństw i kształtowania rodziny); założenie to sprawdza się bowiem na każdym kroku w rozwoju społecznym i należałoby je zbić, nim odrzuci się jego znaczenie jako klucza do zrozumienia genezy jakiegoś zwyczaju obecnego. Poznajmy się jednak bliżej z treścią *Rodziny pierwotnej*.

Starcke przedewszystkiem usiłuje znaleźć czynniki, dzięki którym ukazuje się bądź prawo ojcowskie, bądź macierzyste. W tym celu rozpatruje kolejno wszystkie ludy globu ziemskiego, poczynając od australczyków. Stara się on wykazać, że najniżej stojące w kulturze grupy Australii są oparte na prawie ojcowskiem, wyżej posunięte — na macierzyńskiem (twierdzenie, zauważymy, zgoła przeczące wynikom takich źródłowych poszukiwań na miejscu, jakiemi są prace Fisona i Howitta). W ten sposób dowodzi, że macierzyństwo rozwinęło się dopiero w okresie późniejszym — z ojcowstwa. Powody tego przejścia są wyraźniej zarysowane dopiero przy rozpatrywaniu ludów Ameryki. Starcke stwierdza, że u czerwonoskórych istnieje zwyczaj wyszukiwania sobie opiekuna-fetysza w jakimś przedmiocie, zwłaszcza zaś w świecie zwierzęcym. Znak odpowiedni, umieszczony na chacie, z czasem zamienia się na rodzaj herbu rodzinnego, obejmującego wszystkich potomków. Niekiedy znowu fetysz ów jest wspólny całemu gronu ludzi. Z takiej łączności religijnej kilku domów powstaje ród. Solidarność jego spoczywa zatem nie na wspólnem pochodzeniu, ale na owym wspólnym kulcie. Do tego dołączają się jeszcze warunki ekonomiczne i czynią z rodu jakąś stałą jednostkę społeczną. Względy tej samej natury stwarzają wraz z rodem ekonomiczną zamożność pojedynczych chat. Mąż wchodzi w zagospodarowaną rodzinę żony, wprost jako siła robocza, pracą swoją płacąc za użytkowanie z żony, i żyje w domu jej rodziców. Okoliczność ta dostatecznie tłomaczy wyłonienie się prawa macierzystego z pierwotnego ojcowskiego. „Macierzyństwo wynika zatem nie z nieznajomości ojca, lecz z małego znaczenia, nadawanego pokrewieństwu z ojcem. Przytem nie rozdziela ono ojca z dzieckiem, lecz jedynie usuwa to ostatnie z klanu ojca i pozostawia je w chacie matki.“ Autor znowu usiłuje poprzeć te swoje wywody rozbiorem stosunków etnicznych Ameryki południowej, mianowicie tem, że u ludów, mniej posuniętych w kulturze, przeważa prawo ojcowskie, tymczasem u więcej cywilizowanych — macierzyste. Naturalnie, wszystko zostało odwrócone, jak przysłowie powiada, do góry nogami. Ślady szczątkowego macierzyństwa u indyan brazylijskich uchodzą u Starckea dopiero za pierwsze objawy ukazującego się prawa matki... Wreszcie Afryka dostarcza niby wzorowych przykładów, jak z ojcowstwa powstaje z biegiem czasu macierzyństwo. „Pierwszemi społecznościami rodu ludzkiego jest rodzina, oparta na prawie męzkiem, oraz grupa rodzin, znajdująca się pod władzą ojca dzięki jego wyższości fizycznej. Kto jest silny lub posiada jakąś wyższość, zmusza innych do posłuszeństwa: wszyscy, kogo z nim łączą węzły pochodzenia lub plemienia, słuchają go. Ród ukazuje się już później i w miarę jak jego organizacya wewnętrzna krzepnie, macierzyństwo wyrugowywa pochodzenie w linii męzkiej. W tym okresie rodzina przestaje stanowić samodzielną grupę prawną. Samo macierzyństwo ukazuje się dopiero wtedy, kiedy pojedynczy lud przedstawia już obfitą masę, rozpadającą się na mnóstwo drobniejszych części. Wspólmieszkanie w tej samej chacie wywołuje początkowo liczenie rodowodu w linii męzkiej, później z żeńskiej, kiedy mąż przychodzi z klanu obcego.“ Jak w Ameryce, podobnie w Afryce Starcke widzi w tem wszystkiem, co według Giraud Teulona jest szczątkową pozostałością czasów dawniejszych, dopiero pierwsze zarodki budzącego się nowego stanu rzeczy — macierzystego. Usiłuje on wyprowadzić tutaj prawo macierzyste z ustrojów poligamicznych. „Rodowód prawa macierzystego przewybornie wyświetlają zwyczaje beczuańskie: macierzyństwo rodzi się z konieczności wyróżnienia rozmaitych grup tej samej rodziny patryarchalnej, skupiających się każda dokoła innej żony ojca-patryarchy.“ Zwłaszcza proces ten idzie szybko, jeśli jakaś żona posiada potężnych i wpływowych krewniaków. Zwykle ma to miejsce przy pierwszej żonie i dla jej to potomstwa widzimy w całej pełni zastosowanie prawa macierzystego. Słowem, u niższych grup afrykańskich, np. koczowników Wschodu, istnieje ojcowstwo, u wyższych, rolniczych, zaczyna ukazywać się macierzyństwo — pod wpływem warunków ekonomicznych.

Opuszczamy podobny przegląd ludów Azyi, Polinezyi i starożytności aryjskich i podkreślamy ostateczne wyniki, do których Starcke dochodzi. Mianowicie wbrew utartym poglądom, że pochodzenie liczono to w linii męzkiej, to w żeńskiej, odpowiednio do bieżących w społeczeństwie zapatrywań na węzły pokrewieństwa, uczony duński twierdzi, że tutaj działały inne po-

---

Wszędzie, na każdym kroku ktoś do nas wyciągał rękę: ten oczyścił buciki, tamten powiesił palto, ktoś trzeci przyniósł filiżankę kawy: wszyscy stali, czekając, dopóki nie rzuciło im się odpowiedniej liczby fenigów. Teraz dopiero zrozumiałam to żebractwo pracujących. Chodziłam po pokoju, pełna oburzenia, z planami reform w głowie. Miałam iść do zarządu nazajutrz i powiedzieć, że dotychczasowy porządek ustaw hotelowych nie ma racyi bytu; że obniża zmysł moralny w sferze ludzi, dostatecznie inteligentnych, aby go mogli mieć rozwiniętym do pewnego stopnia; że budzi w nich chciwość, oglądanie się na cudzą łaskę, traktowanie za rodzaj dobrowolnej jałmużny płacy, która im się słusznie należy. Albo zatem niech zarząd wpłynie na gospodarzy, aby zechcieli zadawalać się mniejszymi dochodami i dopuścili maluczkich do uczty przy stole swoim, albo też niech goście będą z góry uwiadomieni, jaką kwotę na kogo mają wyłożyć: niech zostanie zatem z góry oznaczona taksa z wyraźnem wynotowaniem, co kosztuje przyniesienie szklanki piwa, co podanie porcyi befsztyku itp.

Myśli moje skakały z przedmiotu na przedmiot. Porównywałam wielki zakład hotelowy do machiny, której szrubę, szrubki, szrubeczki, wprawiające w ruch mechanizm, przypominają pracującą nakształt perpetuum mobile służbę. Skrzywienie się jednej szrubki wywołałoby opóźnienie ogólne biegu, niedostrzegalne może dla obojętnego widza, dające się jednak uczuć motorom głównym.

Wśród podobnych zestawień zasnęłam. Nad ranem obudził mię jęk, wzmagający się z chwilą każdą. Nie wiedziałam, skąd pochodził, zaciekawiał mię jednak i niepokoił, jak każdy objaw bólu, który blizko siebie czujemy. Nie czekając zwykłej godziny wstania, zadzwoniłam na służącą.

— Co to znaczy? — zapytałam, gdy weszła, wskazując jej gestem, aby wsłuchała się w żałosne, przeciągłe westchnienia kogoś, co bardzo silnie musiał cierpieć.

Jasnowłosa, trochę na twarzy piegowata Petrina odpowiedziała mi płaczliwym głosem o smutnym wypadku, jaki przytrafił się wczoraj dziewczynie z kuchni, tak zwanemu „kochlehrlingowi,“ która przybyła z Tonderu dla wyćwiczenia się w sztuce kulinarnej pod kierunkiem kucharza restauracyjnego.

Krając pieczeń, wezwana nagle przez kogoś, zerwała się z miejsca i w pośpiechu, przeskakując próg kuchni, za którą miała wybiedz, upadła. Nóż kuchenny, zawieszony u pasa jej z resztkami skrzepłego na końcu ostrza sosu, przeszył mięśnie jej pod kolanem. Nie obmywszy nawet ranki, obwiązawszy ją zaledwie tak, aby nie krwawiła, biedna Marie wstała do pilnej roboty, do której ją wezwano. Kulejąc, chodziła do samego wieczora. Napływ gości tego dnia był liczny. Musiano zwijać się, aby żądania wszystkich zadowolić. Kucharz, starsza „mamselle“ napędzali do roboty. Najsilniejszy ból nie mógł dać się uczuć w takim gwałcie. Dopiero po północy chora, kładąc się, spostrzegła, iż nogę pod kolanem ma silnie nabrzmiałą, rankę rozjątrzoną, zaropiałą, sinawą i straszne rwanie w biodrach, w udach, oraz w stopie. Wezwany doktór powiedział, iż trzeba będzie oczyścić ranę, która inaczej mogłaby grozić gangreną.

— Gdzież chora leży? — spytałam.

— Tu obok — odpowiedziała Petrina.

Przyjechawszy do W. w czasie największego przepełnienia domów mieszkalnych, musieliśmy zająć jedyny wolny pokoik, jaki się znalazł na całej wyspie. Była to prawdziwa facyatka z nizkim, ściętym sufitem i małemi oknami. Chodząc po niej we dwoje, trącaliśmy się co chwila i przeszkadzali sobie wzajemnie. Przepędzenie w niej dwóch dni i dwóch nocy, po którym to terminie obiecano przygotować nam wspanialsze schronienie, wydawało nam się czemś strasznem. Wiatr świszczał nam nad głowami, tłukąc się o blachę dachówki; deszcz, przeciekając przez niezbyt szczelnie przylegające do siebie wiązania, kapał na

budki, nie zaś wyobrażenie o pewności lub niepewności ojca. Lippert np. dowodzi, iż prawo macierzyste było wynikiem tego, że człowiek pierwotny, uderzony związkiem krwi pomiędzy matką a dzieckiem, przypisywał tej łączności większą siłę, niż stosunkowi ojca do potomka; inni znowu uważają to prawo za następstwo pierwotnego bezładu małżeńskiego i niepewności rodzica męzkiego. Starcke tymczasem jest zdania, że bezład ów nigdy nie istniał, na łączność zaś krwi nie zwracano uwagi. Jedynie wola ludzi określała stosunki pokrewieństwa, a o tej woli rozstrzygały warunki ekonomiczne i społeczne. W stanie dzikim ojciec był głównem źródłem potęgi ekonomicznej i dziecko też było głównie jego dzieckiem; dopiero po ukazaniu się rolnictwa i z wzrostem bogactw występuje macierzyństwo. W pierwszej chwili wynika ono stąd, że narzeczony winien kupować u teściów przyszłą żonę lub iść do domu ich i wysługiwać się. Niekiedy pozostaje stale i dzieci jego uchodzą za dzieci żony. Czasem bierze ją z sobą, lecz jeśli rodzina jest patryarchalną, objawia się konieczność wyróżniania dzieci według matek...

Lecz na tem nie kończy się zadanie *Rodziny pierwotnej*. Należy jeszcze rozbić całą wiązankę tłomaczeń drugorzędnych — np. wzajemnego pożyczania sobie żon. Można jednakże z góry domyśleć się odpowiedzi. Jakim sposobem w okresie pierwotnym, kiedy panuje zwyczaj zamiany żon, może istnieć pochodzenie ojcowskie? Rzecz, zdaniem Starcke'a, jest bardzo prosta: ojciec i dziecko są związani nawzajem spoidłem prawnej natury, które lubo każe ogólnie domyślać się faktycznego pochodzenia dziecka od ojca, lecz jeszcze nic wymaga jako czegoś obowiązującego. Dziecko nie dlatego jest dzieckiem ojca, że zostaje przezeń spłodzone, lecz na podstawie prawa własności nad matką. Podobnie istniejąca tu i owdzie poliandrya nie jest szczątkiem dawnego bezładu, lecz wynikiem stosunków ekonomicznych, które nie pozwalają rodzinie wydatkować pieniędzy na kupno żon dla każdego mężczyzny... Lewirat (obowiązek poślubienia żony po zmarłym bracie) bynajmniej nie jest resztką rodziny swoistej, ale dalszym rozwojem owego stosunku prawnego, który mężczyznie pozwala uważać za swoje każde dziecko, zrodzone od kupionej żony. Tylko stosunek ów zostaje przedłużony po za grobem. Systemy pokrewieństwa, odgrywające taką rolę u Morgana, otrzymały też odpowiednie wyjaśnienie. Jeśli gdzieś dziecko o wszystkich braciach ojca mówi jako o ojcach, to tylko dlatego, że ich prawne stanowisko w rodzinie jest jednakie. Systemy owe są tylko oddaniem prawnych i własnościowych stosunków, panujących w rodzinie...

Tłomaczenia autora niekiedy bywają naciągane, lecz tu i owdzie posiadają wygląd bardzo naturalny. W rzeczy samej, są wypadki, w których Starcke ma zupełną słuszność. Np. u rolników Tybetu istnieje poliandrya, oparta na tem, że grupa braci posiada jedną wspólną żonę. Zdawałoby się, iż jest to szczątkową pozostałością po dawnej rodzinie swoistej. Tymczasem istotne pobudki są zgoła inne. Nędza w połączeniu z koniecznością kupowania żony zrodziła ze zwykłej monogamii ową poliandryę. Natomiast zwłaszcza wyjaśnienie kuwady, odrzucanie znaczenia wspólności krwi, są w wysokim stopniu nieprawdopodobne. Zauważymy też, iż Starcke dzieje rodziny ludzi rozpatruje wciąż przy założeniu, iż pomiędzy mężczyzną a kobietą istnieje podział pracy. Rozumie się, iż wtedy można dowieść wielu rzeczy. Tymczasem ów podział występuje dopiero na pewnym szczeblu rozwojowym. I jeśli istnienie bezładu małżeńskiego nie jest koniecznością, kiedy podział pracy zmusił już osoby różnej płci do ściślejszego związania się ekonomicznego, wówczas przed jego nastaniem heteryzmowi nic nie stało na przeszkodzie!

Lud. Krz.

FILOZOFIA.

A. Naville, *Remarques sur l'induction dans les sciences physiques* (Revue philosophique).

Wiadomo, że metodą przeważającą w wiedzy ścisłej jest indukcya; zbadanie więc podstaw filozoficznych tej metody posiada ogromną doniosłość, zwłaszcza w naszym wieku, gdy wpływ umiejętności doświadczalnych jest tak potężny, że wszelki pogląd na świat musi liczyć się z ich zdobyczami. W literaturze angielskiej zwłaszcza kwestya ścisłości metody indukcyjnej poruszana była wielokrotnie i w sposób poważny *). A. Naville daje nowy przyczynek do tego zagadnienia, starając się sformułować przypuszczenia, na których spoczywa wiara nasza w poprawność wniosków indukcyjnych. Uważając indukcyę za czynność umysłu, prowadzącą do określenia praw przyrodniczych, które są zawsze pewnym stosunkiem zależności między dwoma sądami, wykazuje on, że twierdzenia, dotyczące praw natury, mają zawsze kształt sądu hypotetycznego, tj. zawsze dadzą się gramatycznie wyrazić za pomocą spójników: jeśli — to; np. jeśli promień spada na powierzchnię pod kątem 45°, to odbije się pod tym samym kątem. Na przykładzie ciążenia powszechnego wykazuje autor, że to prawa dadzą się zawsze sprowadzić do formy sądu hypotetycznego, chociaż niekiedy pozornie wyglądają na twierdzenia bezwarunkowe, tj. mają postać sądów kategorycznych. Ale w umiejętnościach spotykamy sądy kategoryczne prawdziwe; twierdzenie, że „małpa ma cztery ręce" *) jest bezwarunkowe. Twierdzenia jednak podobne nie wyrażają żadnych praw przyrody, są one tylko skróconą definicyą pojęcia. Ażeby zrobić z tego teoremat naukowy, należałoby wykazać, z jakich właściwości organizacyi małpy wypływa koniecznie posiadanie czterech rąk i wtedy mielibyśmy sąd hypotetyczny: „jeśli istota posiada takie a takie właściwości — to posiada również i cztery ręce."

Zastosowanie metody indukcyjnej spoczywa na zasadzie, że ten sam zbieg przyczyn powoduje ten sam szereg następstw, zasadzie, która w tej formie ogólnikowej ma znaczenie pewnikowe, ale właśnie dla ogólności swojej jest mało płodna. Skąd bowiem pewność, że zbieg przyczyn dziś jest zupełnie ten sam, co wczoraj, że w jednem miejscu jest ten sam, co w innem? Wszak już różnica w czasie i przestrzeni usuwa możliwość twierdzenia tożsamości. Skąd dalej pewność, że cząsteczki siarki w tym kawałku są zupełnie jednakowe, jak w innym i że równie chciwie będą się łączyły z tlenem? Jednak bez tej wiary w tożsamość warunków każde doświadczenie naukowe miałoby tylko charakter odosobnionego spostrzeżenia i nie moglibyśmy twierdzić, że to, co się dziś udało, uda się i jutro — itd.

Wnioski więc indukcyjne polegają na wierze, że 1) ani bieg czasu, 2) ani różnica

*) Przypominamy tu tylko Whewella *Historyę umiejętności indukcyjnych* i *Filozofię umiejętności indukcyjnych*, oraz odpowiednie rozdziały w *Logice* Milla.

*) Zoologowie dzisiejsi mieliby tu coś do zarzucenia; bierzemy jednak ten przykład autora, gdyż chodzi jedynie o formę, nie zaś o treść twierdzenia.

---

nas kroplami. Czuliśmy się chwilami nieszczęśliwi i zrozpaczeni; pocieszała nas jedynie myśl o lepszej przyszłości.

Z facyatką naszą na lewo graniczyło nędzniejsze jeszcze poddasze, duszne w skwary południa, przewiewne w deszcze, chłody i burze.

Jęk, który mię obudził, pochodził stamtąd.

Ubrawszy się szybko, poszłam do chorej. Zastałam ją w gorączce: oczy jej błyszczały, wypieki miała na twarzy. Zobaczywszy mię, usiłowała być spokojną; jęki jednak mimo woli wydzierały się z jej piersi.

Spojrzałam na sześć tapczanów, rzuconych obok chorej na podłodze z pozwijanemi w kłębki kołdrami, bez prześcieradeł, z garstkami morskiej trawy, objętej czerwoną wsypką zamiast poduszek.

Dziewczęta, które tu spały, zbudzone do roboty, nie miały czasu uporządkować smutnych swych legowisk. Nieład raził wzrok, brak powietrza dusił piersi. Po kilkogodzinnej burzy, szalejącej w czasie nocy, słońce padało ukośnymi promieniami na ściany poddasza, rozgrzewając je. Przy spokojnem powietrzu brakowało wszelkiego przewiewu. Pyłki kurzu, podnoszącego się z ziomi i opadającego ze ścian za każdem stąpnięciem, drgały w smugach światła.

— Czy ciebie stąd nie przeniosą? — zapytałam chorej.

Kiwnęła głową przecząco. Gwałtowny ból musiał schwycić ją w tej chwili, gdyż silniej jęknęła; wargi jej zadrgały konwulsyjnie.

— Dokądże można by było ją tu przenieść? — odparła za nią Petrina. Numery pozajmowane. Wszędzie pełno ludzi. Posługacze śpią w stajniach i w wozowni...

— Któż jej tu będzie doglądał? — pytałam dalej.

— Nikt — odpowiedziała Petrina. Każdy ma pracę; nie wiadomo, co pierwej robić. Chorować tu trudno. Czasami może która z dziewczyn kuchennych wpadnie, to zmieni jej opatrunek. Ja, choćbym chciała, nie mogę zaglądać do niej.

— A gdyby ją oddać do szpitala?

— Nie mamy go na wyspie; jak kto bardzo chory, a brak mu opieki w domu, przewozi go się do Hoyer. Tu tylko jest „Heilanstalt" dla dzieci...

— No to... gdyby...

Krążyły mi po głowie różne projekty. Myślałam o wynajęciu dla chorej pokoju we wsi u którego z żeglarzy lub rzemieślników fryzyorskich; to znowu zdawało mi się lepszem zapewnienie jej odrazu niezawodnej opieki lekarskiej i dokonywanie opatrunków przez ludzi fachowych w szpitalu.

— Czy ty masz pieniądze? — spytałam.

Petrina odpowiedziała za nią:

— Ma tylko trzy marki najwyżej. Siedem talarów musiała zapłacić z góry za naukę gotowania, jak tylko tu przyjechała; po trzy grosze (grosz równa się dziesięciu fenigom) trzeba dawać za pranie sukien; życie takie niedobre, iż często musimy sobie coś same dokupić: pieniądze tu wychodzą...

— Zapytaj doktora — rzekłam do niej — czy chorą w tym stanie, w jakim jest dzisiaj, można przewieźć do Hoyer? Odpowiedź przynieś mi natychmiast.

Wyszłam z zamiarem zebrania składek między gośćmi na biedną Marie. Z zapałem i przejęciem się opowiadałam znajomym historyę sąsiadki. Każdy z tych, co mię wysłuchał, obiecał pomoc. Nie było obawy, iż kwotę, potrzebną na przewiezienie chorej do szpitala, da się zebrać wkrótce.

Przenosiny nasze z dusznej facyatki na trzecie piętro miały miejsce tego samego dnia w południe. Dostaliśmy na drugim końcu wyspy w innym zupełnie hotelu duży, ładny pokój z widokiem na faliste wzgórza dżun i chłopskie chałupy z jednej strony, na łąki i ogródki przed domami z drugiej. Uszczęśliwieni z pierwszej nocy, dobrze przespanej, w czasie której nie obudził nas ani plusk deszczu, ani przewiew wiatru, zapomnieliśmy chwilowo o naszej chorej. Nad wieczorem dopiero spotkawszy

położenia w przestrzeni nie mają wpływu na charakter zjawiska, czyli, mówiąc językiem wiedzy, czas i przestrzeń nie są przyczynami; 3) że oprócz tych substancyj, któreśmy doświadczali, istnieją inne, niczem od pierwszych nieróżniące się. To ostatnie wymaganie prowadzi ostatecznie do wniosku, że ciała, jakkolwiek różne, posiadają jednak pewne cechy wspólne, czyli, w pojmowaniu atomistycznem, które dziś przeważa w umiejętnościach fizycznych, że wszystkie ciała złożone są z pierwotnych, jednostajnych cząsteczek, będących niejako uosobieniem tych wspólnych wszystkim ciałom właściwości; że wszelka tedy przemiana w świecie materyalnym jest tylko przekształceniem, zmianą ugrupowania niezmiennych i jednostajnych atomów. Widzimy więc, że założenie, które Stallo słusznie uważa za jedno z podstawowych twierdzeń mechanicznego na świat poglądu *), założenie, dziś stawiane tylko jako hypoteza, choć do uzasadnienia go dąży wiedza fizyczna współczesna, jest niczem innem, tylko wypowiedzeniem w terminach teoryi atomistycznej jednego z wymagań metody indukcyjnej, tj., że twierdzenie, które teorya mechaniczna uważa za wynik doświadczalny, jest tylko wyrażeniem, w pewnych terminach, konieczności logicznej, tkwiącej w metodzie indukcyjnej. U szczytu wiedzy więc znajdujemy to, co przez zastosowanie tej metody wprowadziliśmy nieświadomie w jej podwaliny.

Taki jest wynik logiczny z analizy metody indukcyjnej, jędrnie i ściśle przeprowadzonej przez A. Naville'a, jakkolwiek sam autor nie posuwa się do tego wniosku. Zresztą do wyniku podobnego przyjść można i inną drogą, mianowicie drogą analizy pierwiastków podmiotowych zmysłowych, spoczywających w pojęciach naukowych. Odkładając wszakże tę kwestyę do lepszej sposobności, poruszymy tu inną, łączną z twierdzeniem (zupełnie słusznem) autora, że wszelka wiedza indukcyjna o ile obejmuje prawa ogólne, składa się z sądów hypotetycznych. Otóż naprzód możemy rozciągnąć twierdzenie to na nauki dedukcyjne; każdy przyzna bowiem z łatwością, że wszystkie twierdzenia matematyczne mają również formę sądów hypotetycznych: istotnie w teoremacie znajdujemy dwie części, z których jedna zaczyna się od „jeśli" (przypuszczenie — suppositio), druga od „to" (twierdzenie — affirmatio). Tam gdzie hypotetyczność nie jest widoczna, jak w niektórych pewnikach, łatwo ją wykryć: np. linia prosta jest najkrótszą odległością między dwoma punktami, to tylko skrócone twierdzenie następującej formy: jeśli linia zachowuje stale swój kierunek, podążając od jednego punktu do drugiego, jest ona krótsza od wszelkiej innej, poprowadzonej między tymi punktami. Możemy więc powiedzieć, że cechą wszelkiej wiedzy ścisłej jest warunkowość jej twierdzeń ogólnych.

Istnieje jednak dziedzina, w której same warunkowe twierdzenia ogólne nie mogą nas zadowolić; jest to dziedzina praktyczna, zakres czynu. Nie zadawalamy się odpowiedzią na pytanie: jak powinniśmy postępować aby ten lub ów cel osiągnąć? — lecz obok stawiamy inne: do jakiego celu powinniśmy dążyć? Odpowiedź na pierwsze pytanie stanowi to, co Kant nazywa maksymą praktyczną; jest ona zawsze sądem hypotetycznym, tj. warunkowym, zależnym od postawionego celu; odpowiedzią na drugie pytanie jest prawo moralne, bezwarunkowe i posiadające formę sądu kategorycznego. Twierdzeniom moralnym można nadać kształt sądu hypotetycznego; np. jeśli ktoś kradnie, popełnia czyn niemoralny: twierdzenie to jest hypotetyczne i w tej formie nikogo do niczego nie zobowiązuje; ale w twierdzeniu takiem, jeśli uważać je będziemy za regułę postępowania, winniśmy przypuścić inne ukryte a kategoryczne: z tym dodatkiem staje się ono obowiązujące.

Widzieliśmy już, że wiedza ścisła nie zawiera w swych twierdzeniach ogólnych żadnych sądów kategorycznych; oczywistym więc stąd wnioskiem jest, że żaden system etyczny nie może być osnuty na samych tylko wynikach tej wiedzy. Skądkolwiek musi tu wejść twierdzenie kategoryczne; skąd mianowicie — na to różnie odpowiedzą moraliści różnych szkół. Drugim wnioskiem jest, że różnica między prawem przyrody a prawem moralnem polega na tem, iż pierwsze jest zawsze hypotetyczne, drugie zaś kategoryczne; czyli, że pierwsze jest twierdzeniem warunkowem, drugie bezwarunkowem.

W. K.

*) To jest założenie, że pierwotne jednostki mas są sobie równe i że wszelka różnica w zjawiskach polega na różnicy ich ugrupowania. *Theories and conceptions of modern physics*, rozdz. II.

KATECHIZM SPOŁECZNY SPIRYTYSTÓW.

Przed laty pięćdziesięciu wystąpił w New-Yorku Andrew Jackson Davis, który szybko w kołach przyrodników i lekarzy podniósł na wyżyny wiedzy objawy jasnowidzenia, uzyskane w stanie magnetyczno-sonambulicznym. W ojczyźnie jego wszczął się niezwykły ruch (pukanie duchów, posuwanie stołów itp.), wynurzyło się ze dwadzieścia i kilka klas medyów pantomicznych, newrologicznych, psychometrycznych telegrafujących itp. Głoszono objawienie duchów, nieograniczających się na mówieniu i pisaniu, lecz dochodzących do materyalizacyi, tj. działania jak istoty żywe, naturalnie w zawisłości od swych medyów. Zjawiska te od kontemplacyi i hypnotyzmu, aż do wspaniałych popisów proroctwa stały się przedmiotem badań naukowych. Wymieniam kilku znakomitszych uczonych: fizyka i lekarza prof. dr. Roberta Hove z Filadelfii, przyrodnika Alfreda R. Wallace i prawnika Edwarda W. Coxa, obaj z Anglii; astronoma C. Flammariona we Francyi, chemika prof. Butlerowa w Rosyi, astro-fizyka prof. dr. Zöllnera w Lipsku, Barona Hellenbacha w Wiedniu, dr. Du Prela w Monachium, prof. Maxa Perty, w Bernie szwajcarskim itp. którzy doszli do uznania zjawisk spirytyzmu, chociaż się różnili w ich przyczynowem wytłomaczeniu. Jedni, należący do t. z. spirytystycznej szkoły Allana Kordec, której głównym organem jest wychodząca w Paryżu *Revue spirite*, przypisują przyczynę tych zjawisk istotnym duchom zmarłych, kiedy trzeźwiejsza szkoła angielska odnosi je po prostu do funkcyj nerwowych, do stanów magnetycznych, hipnotycznych itp. a niemiecka skłania się do t. z. hipotezy złudzeń i halucynacyj. Większość zaś niedokładnie ze sprawą obeznanych uważa wszystko za świadome oszukaństwo. W krótkim stosunkowo czasie objął spirytyzm szerokie koła inteligencyi we wszystkich niemal krajach i wywołał niezwykłe ożywienie w literaturze zagranicznej. Na czele ruchu amerykańskiego stoją spirytyści, grupujący się około następujących czasopism: *Banner of Light* w Bostonie, *Religio - philosophical journal* w Chicago i *The universal republic* w Oregonie.

Spirytyści angielscy skupieni są przeważnie w pismach: *The psyshological Magazine* i *Light*, wychodzących w Londynie, tudzież

Petrinę, spytałam o nią. Odpowiedziała mi, że ma się lepiej, ale doktór na przewiezienie jej nie pozwala.

— Leży tam, gdzie leżała? — zagadnęłam.

— Naturalnie — odparła Petrina.

— I nikt jej nie dogląda?

— Raz na dzień zabiega do niej siostra jej z drugiego hotelu, ale ta też ma mało czasu...

Zobowiązałam ją, aby mię zawiadamiała o przebiegu choroby; prosiłam następnie, aby wyszukała dziewczynę jaką we wsi, któraby mogła być przy biednej Marie ciągle. Petrina odpowiedziała mi na to, iż nikogo takiego nie znajdzie, gdyż wszystko, co żyje na wyspie, zajęte pracą: jedni po hotelach i restauracyach, inni — przy żniwach.

Wyrzucałam sobie egoizm: powinnam była choć parę godzin dziennie poświęcić chorej. Szkoda mi było wiatrów nadbrzeżnych, morza, słońca. Tak dobrze, tak pełną piersią się oddychało, leżąc na sypkim, żółtawym piasku...

Trzy dni czekałam napróżno raportu Petriny o stanie zdrowia Marie. Czwartego dnia zaszłam sama na poddasze.

Przez uchylone drzwi dostrzegłam siedem tapczanów, nieporządnych, brudnych, niezasłanych, leżących, jak zwykle, na ziemi. Przy jednym z nich stało krzesło z flaszkami lekarstw; nikogo tu jednak nie było.

— Co się stało z moją chorą? — pytałam sama siebie.

Petrina fruwała po pokojach. Pół godziny wypatrywałam jej napróżno. Zniecierpliwiona w końcu, zeszłam na dół i zagadnęłam starszego kelnera, co się dzieje z Marie: czy przewieziona już do szpitala, czy też może umieszczona gdzieindziej?

Pan Rudolf odpowiedział mi z kwaśną miną, że moja protegowana już zdrowa i że dalsze zajmowanie się moje jej losem nie ma racyi bytu.

W dwa tygodnie potem spotkałam Petrinę. Opowiedziała mi, iż przyjaciółka jej bardzo chora. Grozi jej odjęcie nogi po samo biodro. Właściciel hotelu wtedy, gdy zasłabła, nie pozwolił jej leżeć długo. Jak tylko doktór po podgojeniu się ranki powiedział, że może wstać na chwilę, zapędzono ją natychmiast do roboty. Kręciła się po kuchni, jak mogła: cóż począć? Nie można tu chorować.

Przystąpiwszy do mnie bliżej, zniżając głos i oczami nakazując tajemnicę, szeptała mi do ucha:

— Kiedy trzy tygodnie temu powiedziałam starszemu kelnerowi, że pani chce wysłać Marie do Hoyer do szpitala, krzyknął na mnie, żebym nie wtrącała się w nieswoje rzeczy i nie pozwolił ani słowa wspomnieć o tem doktorowi, inaczej groził, że mię wypędzi i naskarży na mnie przed moimi rodzicami. Cóż miałam robić? Siedziałam cicho. Starszemu kelnerowi, który bardzo trzyma z samym panem, chodziło o to, aby nie pozbyć się dwóch rąk do pracy. Tu, na wyspie, trudno o ludzi bardzo!..

Tego samego dnia odwiedziłam chorą Marie na poddaszu.

Leżała w gorączce; nie jęczała już: nie miała sił po temu, a może nie czuła bólu. Spojrzała na mnie, gdy weszłam, a potem utkwiła wzrok w pająka, oplątującego siecią złapaną muchę na belce, tuż nad jej głową. Nie odpowiadała wcale na moje pytania; ani gestem, ani wyrazem twarzy nie zdradzała, że je rozumie.

W południe miano ją przenieść do pokoju starszej „mamselle" przy kuchni. Termin operacyi został naznaczony za kilka godzin.

Gdy nazajutrz spytałam o moją chorą, powiedziano mi, iż odjęcie nogi dokonane szczęśliwie, rozkład krwi jednak następuje dalej tak szybko, że doktór nie rokuje pacyentce swej nawet dwóch dni życia...

Cecylia Walewska.

w czasopiśmie *The two worlds*, redagowanem przez uczone medium, pannę Emmę Hardinge-Britten w Manchesterze. Spirytyzm niemiecki reprezentuje znany miesięcznik *Sphinx*, *Psychische Studien*, *Monatliche Zeitschrift des Untersuchung des Phänomeue des Seelenlebens gewidmet*, wydawany przez cesarskiego radcę stanu Aleksandra Aksakowa w Petersburgu u Mützego w Lipsku, peryodyczne wydawnictwo *Bibliothek des Spiritualismus*, wydawano przez dr. G. K. Wittiga (obecnie weszło już 17 tomów) i *Neue Spiritualistische Blätter*, wydawane przez prof. dr. Cyviaxa w Berlinie. W nowym świecie wychodzi gazeta polityczna *Deutsche Zeitung*, szerząca zasady spirytyzmu (Charleston S. C, America) w Hiszpanii *Revista de estutios psicologicos* (Barcelonia), w Rosyi *Rebus* (Petersburg), w Indyach *Theosophist* (Madras), w Australii *Harbinger of Light* (Melbourne) itp. Zorganizowanych towarzystw spirytycznych istnieją już setki. Do wybitniejszych należą stowarzyszenia uczonych angielskich „Society for Psychical Researches," zajmujące się także doświadczeniami odgadywania i przenoszenia myśli; niemiecki „Verein fur harmonische Philosophie in Mülsen" (w Saksonii); „Internationale Spiritalunion" itp. Będąc przeszło rok w Lipsku, w jednej z metropoli spirytyzmu, miałem sposobność zapoznania się z całym ruchem, nietylko z książek i czasopism, ale przez czynny udział w towarzystwach. Odbywaliśmy posiedzenia z duchami dwa razy tygodniowo w ciemności, przestrzegając ściśle oznaczonej godziny. W kółku naszem znajdowało się kilku profesorów uniwersytetu, których nazwisk zobowiązaliśmy się nie wyjawiać, aby ich nie narażać na utratę posady (jak to się stało z Zöllnerem), kilku literatów i jedna głośna spirytystka ruska. Przyjęty zostałem do kółka tego dopiero po złożeniu rodzaju przysięgi. Przed każdem posiedzeniem odmawialiśmy następującą modlitwę: „Ojcze, ześlij na spirytystów ducha poświęcenia w walce z obłudą tego świata, daj poznać ludziom, że spirituaizm jest ich największem szczęściem, zwraca on egoizm na szlachetniejsze tory i spuszcza promienie oświaty w otchłanie ciemności; dopuść, aby ludzie byli naturalni, mądrzy i poczciwi, ażobyśmy kochali wszystkich i wszyscy nas kochali" itd. Po odśpiewaniu pieśni ludowej, kończącej się słowami: „każdy szlachetny człowiek niech nosi imię brata i przyjaciela"—odbywaliśmy w następującym porządku posiedzenia (seance). W pierwszych 12 zebraniach siedzieliśmy przy lekkim, okrągłym stole trójnożnym, z rękami złożonemi na cienkiej płycie, zawsze na jednem miejscu, w wielkiem skupieniu tworząc łańcuch magnetyczny. Starsi miewali widzenia, inni słyszeli tylko chaotyczną wrzawę napowietrzną, ja — nic nie widziałem.

Potem odbywały się t. z. „Tischkipungen," podczas których w tej samej pozycyi odczuwano i spostrzegano poruszenie stołu. Medium, odczuwające najsilniej te ruchy, o czem przekonywaliśmy się na próbnem posiedzeniu, zostawało naszym przewodniczącym. Miało ono osobny kącik w pokoju zasłonięty portierą, skąd wyczekiwaliśmy objaśnienia duchów na t. z. posiedzeniach gabinetowych. Po 12 zebraniach w oznaczonem miejscu i czasie i w tem samem położeniu dawało się słyszeć najprzód drapanie portiery, potem coraz silniejsze pukanie w powietrzu i jakby telegrafowanie słowami. Medium zaczyna być niespokojne, rzuca się, miota książkami itp. Wzięte na powrót do koła przy stole, tworzącego łańcuch magnetyczny, okazuje chęć do pisania: ręce mu drgają kurczowo, szuka ołówka i papieru. Po kilku posiedzeniach zaczyna pisać, z początku kreski, litery i słowa, potem bezmyślne i pogmatwane połączenia wyrazów. W końcu pisze w stanie magnetycznym artykuły, rozprawy a nawet tworzy poezye. Z kolei następują posiedzenia wizyjne. Medium ustępuje w głąb sali do swego zakrytego kącika a uczestnikom, zgrupowanym koło niego w kształcie podkowy (łańcuch otwarty), objawiają się duchy w ciemności, najprzód pod postacią jaśniejących obłoków, gwiazd, kwiatów itp. później jako cienie zmarłych, rozpoczynających ze swymi znajomymi rozmowę. W sali daje się czuć zapach fosforu — „niezawodny dowód istnienia duchów" — jak mię zapewniali uczestnicy. Jakby dla utwierdzenia mnie w tem przekonaniu, daje się słyszeć znane pukanie w powietrzu. Nasz naczelny „guślarz," sylabizując, dostaje następujący rozkaz z góry „medium zasnęło, przekłujcie rękę medium." Naczelnik przekłuwa mu rękę szpilką głęboko — nie widać ani kropelki krwi. Widocznie medium uśpiono. Przybliżam się i widzę spirytystę w stanie hypnotyzmu, który po pewnym czasie pisze wiersze następującej treści: „Poeta demokratyczny skarży się, że dla pieniędzy udawał miłość ludzi, że opiewał jego łzy, chociaż ani jednej sierocie ich nie osuszył; kreśli hańbę doznaną przed Wiekuistym sędzią we własnej piersi (sumieniu) itp. Były to echa kierunku społecznego, jaki przybierać zaczynała religia spirytystów.

Po odbytych zebraniach rozczytywałem się w bogatej literaturze spirytystycznej, w której oprócz niejasności i zamieszania pojęć, spisywanych nieraz przez uczonych w stanie niepoczytalnym, uderzył mię wysoki etyczno-społeczny poziom całego ruchu, liczącego dziś bliższych i dalszych zwolenników na tysiące (liczba ich na obu półkulach ma wynosić niespełna 15 milionów). „Celem spirytyzmu — głosi odezwa *Internation spiritualist. Union J. S. U.* z r. 1890 — jest zbratanie i uszlachetnienie rodzaju ludzkiego na podstawie pozytywnej filozofii natury bez różnicy wyznań i narodowości." „Nasza religia — objaśniała mnie wykształcona szlachetna spirytystka Tekla Heyne z Mülsen (w Saksonii)—jest religią natury, naszymi prorokami są prawa natury, naszem pismem świętem otwarta, nieomylna księga natury, ołtarzem naszym serce ludzkie, naszymi kapłanami rozum, naszem nabożeństwem praca, naszymi sędziami własne sumienie, naszym Bogiem wielki duch wszechświata." Spirytyzm nie chce uchodzić za sektę religijną z ceremoniami, ale uważa się za wiedzę i naukę opartą na badaniu przyrody. Zarzucając wszelkie „powagi," zachowując pogardę dla „filistrów" uniwersyteckich, przebranych w średniowieczny strój bakałarzów, oddzielają spirytyści naukę od urzędu i kościoła i kruszą kopie za bezwzględną wolnomyślność, oczyszczoną ze wszelkiego dogmatyzmu. „Dążeniem naszem jest rozszerzyć naukę o duchu między ludem, aby go podnieść na wyższy stopień moralny. Filistrzy uważają lud za trzodę owiec, pozbawioną własnego zdania i wściekają się ze złości, widząc w nas przeciwników tej zasady. My głosimy naszą naukę tak, żeby ją każdy robotnik, każdy chłop zrozumiał i zawstydził swym jasnym wzrokiem uczonych z rzemiosła, którzy przez wczytanie się w stare szpargały zatracili zdrowy rozsądek." Obok rozszerzenia widnokręgu naukowego wykazuje spirytyzm liczne i szczęśliwe wypadki leczenia chorób, przedewszystkiem zaś oddziaływa dodatnio na stan moralny swych adeptów.

Za granicą prześladują spirytystów zaciekle, pozbawiają ich chleba lub obchodzą się jak z obłąkanymi, a nawet zamykają do więzienia. Nowa religia wymaga więc od swych wyznawców niemałych ofiar i wyrabia silne charaktery. „Nasze poglądy — powiada Lucyan Pusch, jeden z najgorliwszych spirytystów—są trofeami na krwawem pobojowisku, na którem ofiarowaliśmy dobrowolnie krew naszą, aby zburzyć zdrętwiałe posągi przesądu i ukorzyć się tylko przed bogiem prawdy. Nasza religia jest miłością bliźniego, lecz nie ową, znaczoną torturami i zniszczeniem. Mamy dowody czynnego współczucia już między zwierzętami, a wśród dziatwy i u ludów dzikich znajdziesz liczne przykłady tej naturalnej cnoty. Współczucie z cierpiącym jest wrodzone człowiekowi. Widząc w swym bliźnim siebie samego (alter ego), odczuwamy cudzą boleść, a chcąc sobie ulżyć, wykonywamy czynnie miłość bliźniego." Spirytyści uznają się więc, jako członkowie organizmu społecznego, odpowiedzialnymi za słabość każdego z nich, dążą do uzdrowienia całej ludzkości, będąc tego przekonania, że jeżeli cały organizm, to i każdy człowiek będzie się czuł zdrowym.

Stosunek swój do socyalizmu tak przedstawia wspomniany profesor w swym najnowszym katechizmie: „My, spirytyści, jesteśmy przeciwni rewolucyi. Wiemy bowiem, że tak w świecie materyalnym, jak duchowym, a zatem i społecznym nie ma żadnych skoków, lecz wszystko rozwija się powoli. Brzydzimy się morderstwem królów i książąt. System bowiem nie zmienia się zabójstwem osób, lecz tylko siłą opinii publicznej. Każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Nie jesteśmy rewolucyonistami, pragnącymi wszystko istniejące zwalić, chcemy ludzi tylko oświecić, ażeby się przekonali, jak niesprawiedliwe są stosunki społeczne. Chodzi także o formę. Niektórzy wywołują samym sposobem wyrażania się oburzenie, mijają się więc z celem, gdyż ta sama idea, głoszona przez rozumnych, zapuści korzenie swe głęboko w sercach ludzkich. Gorączkowem wystąpieniem ośmieszymy się tylko lub padniemy bezowocną ofiarą, zamykając za sobą wszystkie drogi do dalszej propagandy."

„Zarzucają nam — powiadają spirytyści — że jesteśmy, jak wszyscy reformatorowie, malkontentami, podnoszącymi krzyk dlatego, że nam się źle powodzi. W istocie, odpowiadamy, byli wielcy reformatorowie niezadowoleni, wszakże nie ze swojej pozycyi, lecz z położenia cierpiących lub wyzyskiwanych przez swoich chlebodawców. Nie własne ubóstwo pędziło ich do reformy, lecz dlatego, że zostali reformatorami, zubożeli. Tylko filistrzy zamieniają skutek na przyczynę. Jeleń ma długie nogi nie dlatego, żeby szybko biegł, lecz dlatego biegnie szybko, że ma długie nogi..." Ideał człowieka, jak go spirytyści malują, tak mniej więcej wygląda: ma on serce przepełnione miłością dla uciśnionych, ale zarazem silną wolę i energię; wszystko, co nizkie i podłe, oburza go, dla siebie jednak jest równie surowym, posiada bowiem silnie wyrobiony zmysł sprawiedliwości; w pojmowaniu bystry, reaguje równie szybko, nie obliczając zbyt skrupulatnie skutków każdego kroku. Ideał ten stosują spirytyści rzeczywiście w życiu. Redaktor czasopisma *Neue spiritistische Blätter* był lekarzem bardzo wziętym w Berlinie, dla idei poświęcił praktykę, opinię — cały majątek i dziś żyje w niedostatku, chociaż mógłby w każdej chwili wrócić do dawnych stosunków.

Dla braku miejsca nie możemy szczegółowiej zająć się tym przedmiotem. Tym, którzyby się chcieli zapoznać bliżej z naukowym kierunkiem spirytyzmu, polecam kilka wybitniejszych dzieł, stojących mniej więcej na stanowisku teoryi rozwoju: Hudson Tuttle, *Arcana of nature*; Alfred Russel Wallace, *Harmony of Science and Spiritualism*; William Crookes, *Spiritualismus*; Epes Sargent, *Scientific basis of Spirituation*; W. Erdensohn, *Dasein und Ewigkeit*; prof. J. Schlesinger, *Die geistige Mechanik der Natur*; Pusch, *Spiritualistische Philosophie ist erweiteter Realismus*.

H. B.

LITERATURA I SZTUKA.

KOBIETA W POWIEŚCI.

Petersburg, 27 marca.

Kobiety w utworach: Sienkiewicza, Szymańskiego, hr. Tołstoja i Michajłowa. Kobieta Bellamy'ego.

Kwestya kobieca utraciła nazwę emancypacyi, kołacze jednak do drzwi i okien coraz potężniej. Każdy z wybitniejszych pisarzów, skoro dotknie życia rodzinnego, wskazuje, że niewiastom dzieje się krzywda.

Sienkiewicz w powieści „Bez dogmatu" daje wzór kobiety, o którą walczą dwa prawa: dogmatyczne i naturalne. Czem by się zatarg skończył — nie wiemy, gdyż autor znalazł, że podobnej turbacyi zwykły ludzki organizm przenieść nie może, uśmiercił tedy bohaterkę.

A. Szymański w „Hanusi" stawia kobietę złamaną, skrzywdzoną, nieszczęśliwą, wobec człowieka surowych, a zarazem i nielogicznych zasad; wyrywa bowiem ją z poniewierki, daje przytułek, a potem wysysa ostatnie soki i wyrzuca.

Michajłów (Szeller) w powieści „Rtiszczew" (*Siewiernyj Wiestnik*) tworzy melodyę wysokiej harmonii. Kobieta szlachetna pokochała młodzieńca uczciwego, pracowitego, poślubiła go, ma córkę, syna... Wszystko tedy dzieje się jak w bajce czarnoksięzkiej, a jednak...

Małżonek, człowiek zabiegliwy, uważa, że rodzina powinna brać wzór z gniazda lisów. Więc samiec musi starać się o gęsi, kurczęta itp. pożywienie; samica zaś ma siedzieć w norze, nie wyglądać z niej, nie tęsknić za światłem, nie żądać rozrywek, nie znać innej, krom mężowskiej etyki, a skoro nawet mucha dotknie zapasów gniazda, rzucać się na nią zajadle.

Niestety, gosposia zarażona była w młodości mniej wyłącznymi poglądami; stąd wytwarza się naprzód przelotna ku mężowi niechęć, z czasem rozczarowanie a wreszcie wstręt. Na domiar brat jej, czyli raczej współwychowanek, towarzysz lat dziecięcych, odgadłszy, co ją dręczy, dzieli jej smutek, współczuje, skutkiem czego wzmacnia się niewinna, a więc tem głębsza łączność dwu dusz, posiadających jednakowe podstawy moralne.

I oto, gdy dogmatyzm i uczucia zaczynają rozdzierać serce kobiety, gdy Rtiszczew oburzony wyprasza przyjaciela z domu, dyfteryt zabija dzieci.

Po ich śmierci mąż dla rozrywki proponuje żonie przejażdżkę za granicę, lecz ta oświadcza, że teraz nic ich nie łączy, że już nie mają nic wspólnego, więc ona odejdzie.

Dogmatyk po za obrębem obowiązku nie uznaje żadnych praw... On ją zmusi pozostać, a w razie oporu zabije raczej, lecz nie pozwoli kalać (przypuszczalnie) swego imienia. Roznamiętniony wzrok jego pada na leżący pistolet. Kobieta zrozumiała i wołając: — Chcesz zabić niewierną żonę... nie użyjesz tej przyjemności — porywa pistolet i zabija się.

Gdy upadła, mężczyzna zauważył:

— Biedna, z bólu po stracie dzieci dostała obłąkania.

Zauważmy, że wszystkie cztery utwory, chociaż lubią ozdabiać się bižuteryą francuską, odziane są jednak po słowiańsku w szaty poważne, prawie surowe. Tu żaden mąż nie zdradza żony, wszyscy są wierni, troskliwi o dobrobyt domu; zdawałoby się tedy, że kobiety muszą być szczęśliwe; szczęścia jednak niema, żaden bowiem z nich nie dba o duszę dozgonnej przyjaciółki, nie szuka łączności innej, krom formalnej. Prawda, w „Hanusi" Szymańskiego mężczyźnie niby chodzi o to, czy nie ciąży na kobiecie występek kryminalny, lecz to mu nie przeszkadza po za obrębem dogmatu być jej mężem. Dziwna patrocizna pojęć. Ktoś gotów jest z rzezimieszkiem okradać niebacznych, lecz nazywać łotrzyka przyjacielem honor nie pozwala. Musimy jednak przyznać, że jest to typ możebny; z ludźmi wielbiącymi zasady dla ich formy, nie zaś ducha, zdarzają się podobne dziwy.

Forma, nie duch dogmatów cechuje przekonania mężów we wszystkich czterech powieściach, a stąd wszyscy oni po za obrębem znamion indywidualnych są sobie równi i podobni. Są to ludzie przeciętnie uczciwi, dla których żona stanowi pewien niezbędny sprzęt; na zawołanie męża ma być ona wesołą lub smutną, uprzejmą lub szorstką, słowem, musi stanowić cząstkę jego nastroju. Co się tyczy kobiet, każda powieść daje inną, niepodobną do towarzyszek.

Bohaterka Szellera jest najmężniejsza i podobno najuczciwsza. W tej kobiecie nie widzimy pół czynów, targu. Wychodzi za mąż, bo szanuje człowieka; z czasem, chociaż dostrzega, jak poziome są jego zasady etyczne, nie porzuca go, bo wychowuje dziatwę, którą poczęła w czasie, gdy go kochała. Skoro zaś los przecina nici obowiązku, gotowa raczej umrzeć, niż nawiązywać je znowu: ani jednego uścisku fałszywego!

Kobieta Sienkiewicza więcej bezbarwna, niższa. Chociaż jest wielbicielką dogmatycznych obowiązków, pozwala sobie jednak niewinnych rozrywek, w rodzaju przechadzki, uściśnięcia dłoni... a nawet niezbyt się oburza, a przynajmniej nie na długo, gdy pół-waryat, co żyje wrażeniami chwili, całuje jej stopy. Wogóle jest to natura nikła, słaba, trzyma się na pewnej wysokości jeno dzięki wychowaniu, tradycyi, opinii.

U Szymańskiego widzimy kobietę wrażliwą, nieumiejącą przewidywać następstw, zawierać kontraktów — słowem, istotę bez wychowania. Kocha, więc oddaje się, lecz nie mając sił wobec dogmatyków przezwyciężyć bojaźni, staje się występną. Brnie coraz głębiej w błocie znikczemnienia, aż do szacherki ciałem, pozostaje jednak w głębi duszy o tyle czystą, że człowiek, któryby potrafił zbadać owe słone i gorzkie morze, niemało zdobyłby pereł. Jest to natura wielka, lecz skoszlawiona, zdeptana i wyrzucona jak śmiecie pod kopyta stada.

Tak się przedstawiają owe kobiety ze stanowiska etyki chwili, bieżącej; rozważmy je ze strony praw przyrody lecz naprzód wytknijmy punkt naszego zapatrywania się na rzeczy.

Buckle w dziełku o *Wpływie kobiet na oświatę*, a Gumplowicz w swej *Socyologii*, dowodzą, że ludzie wybitniejsi mieli częstokroć ojców zwykłej, przeciętnej inteligencyi, zaś matki z charakterem i umysłem wysokim.

Skutkiem tego teoryę dziedziczności wyrażają w następny sposób: dziecko otrzymuje od ojca jeno silny lub słaby organizm, charakter zaś od matki.

Otóż mniemamy, że ów charakter nie jest stereotypową fotografią moralnej strony kobiety, ale artystycznym tworem jej ducha; przyczem poglądy Gumplowicza wyrazimy w takiej formie:

Ponieważ niemowlę od urodzenia, przedewszystkiem przestaje z matką, nie dziw więc, że ją naśladuje. Zresztą naśladowanie to zaczyna się wcześniej: skoro przestrach matki lub fizyczne uszkodzenie jej ciała częstokroć dosięga płodu, musimy przyznać, że niemowlę za jej pośrednictwem otrzymuje wrażenia świata zewnętrznego od chwili poczęcia. Wprawdzie, jeżeli matka krępuje pierś gorsetem, na ciele dziecięcia nie tworzą się sińce, lecz mu to tamuje oddech, koszlawi klatkę piersiową. Obie te istoty stanowią jeden organizm, żyją wspólnem życiem, zasilają się tymi samymi pokarmami, przyjmują też same wrażenia, nie dziw więc, że i mózg dziecka funkcyonuje równolegle z mózgiem matki.

Jużci, jeżeli zasady, przekonania, zdolności ojca, wywierają wpływ na umysł matki, jeżeli chętnie myśli o nich, zarazi niemi i dziecko w swem łonie; niemowlę tedy może posiąść cechy i ojca, nie będą one jednak ślepo odziedziczone, jeno nabyte za pośrednictwem matki.

W zasadzie podobny wniosek, jak widzimy, nie sprzeciwia się twierdzeniu, że dzieci formują się na wzór ojców, lecz różni się tem, że nie wyklucza możności, przy troskliwem zachowaniu się rodziców, wydawania potomków, niemających usterek swych przodków.

Przytoczmy jeszcze jeden dowód.

Medycyna twierdzi, że dziecię, poczęte z ojca odurzonego napojem, może zostać głupowate. Prawo dziedziczności natomiast przypuszcza, że niemowlę otrzymuje wszystkie wady i zalety rodziców, a więc nie pewien chwilowy, przejściowy stan ich umysłu. Jeżeli więc przyznajemy słuszność medycynie, musimy zgodzić się, iż skoro umysł dziecka zależy od poczęcia, tj. od wrażenia, które odbiera matka w tak stanowczej chwili, o ślepej dziedziczności mowy być nie może.

I tak, dziecię nie jest kopią, jeno dziełem rodziców, zwłaszcza dziełem matki. Stąd wynika, że kobieta, jak w ciąży, tak w czasie kształcenia się charakteru dziecka, powinna unikać wrażeń przykrych, pustych, kłamliwych, powinna strzedz się grona wiercipiętów, lekkoduchów, otaczać się natomiast osobami poważnemi, rozumnemi; że mamka, jako osobnik mało znany i niewysokiej inteligencyi, jest częstokroć dla dziecka niczem niewynagrodzoną krzywdą, albowiem w najważniejszych chwilach, gdy ono odbiera wrażeniu wpływające na charakter, pozostawiają je wobec nieokrzesanej, a czasami i niezbyt moralnej istoty. Jeżeli nie zarazi go mleko, zarazi uśmiech, smutek, gniew najmitki.

Wracając do naszych bohaterek, przypatrzmy się, jakiego potomstwa mamy prawo od nich się spodziewać — jest to kwestya najważniejsza; małżeństwo bowiem samo w sobie jest rzeczą podrzędniejszą... Nabiera ono znaczenia i powagi wobec potomków: ich wychowania, oświaty, przyszłości.

O ile badaczom udało się dostrzedz tajemnice przyrody, zauważono, że skoro samica ma chęć odtworzyć rodzaj, stara się z otaczających ją osobników — o najdzielniejszego. Nie jest to żadne widzimi się, nie mrzonka, nie kaprys z jej strony, lecz podleganie prawom natury. Tak chce przyroda i tak być musi.

Ludzkim rodzajem rządzi toż samo prawo. Mogą zmieniać się warunki, przekonania, dogmaty, lecz praw natury nic nie zmieni. Najdzielniejsi potomkowie będą wówczas, gdy rodzice są z siebie zupełnie zadowoleni, szczęśliwi wzajemnym doborem. Karety, suknie, brylanty, które tak łatwo rozpieszczone ciało pociągają ku sobie, nie zadowolą ducha ludzkiego, nie zastąpią harmonii uczuć, energii... więc nie dadzą dzielnych potomków.

Otóż na mocy prawa naturalnego bohaterka Michajłowa przedstawia się w nader świetnych kolorach. Póki widzi w mężu jednostkę najgodniejszą — obiera go za ojca dla swych dzieci, skoro zaś traci dlań szacunek — nie daje się zbłąkać żadnemi *ale*: całem swem jestestwem twierdzi: nic nie mamy wspólnego.

Inaczej się przedstawia dogmatyczka Anielka. Pytanie: jakiego możemy spodziewać się potomstwa, gdy samo jego poczęcie sprawiało na matce wrażenie gwałtu przeciw naturze? Czy się nie wpije ów wstręt w organizm dziecka, czy nie zakazi jego mózgu, nie uczyni zeń istoty nerwowej, nieszczęśliwej, niezadowolonej z całego świata — a przedewszystkiem biernej, nikłej, a może i podłej?

Kto narzeka na upadek w narodach energii, zdrowia, przekonań, ten niech się zwraca z utyskiwaniami do Anielek wszelkich barw i zasad: ich to dzieci szerzą zwyro-

dnienie, fałsz, zanikanie rodzaju ludzkiego. Na szczęście Sienkiewicz kazał jednej z nich umrzeć, lecz pozostałe—któż zliczy?.. Kto zliczy owe najmitki prawne, dla których macierzyństwo jest częstokroć nieszczęściem, a mąż — wielbłądem, o tyle cenionym, o ile zdolny dźwigać ciężary.

Co do Hanusi Szymańskiego, ów zapał, z jakim rzuciła się w objęcia pierwszego wybranego, dowodzi, że jest to charakter, jeśli tak można rzec — naturalny, nieujęty w karby etyki i zbyt ognisty, ażeby pozwalał obliczyć następstwa. Jest to motyl, który rzucił się do światła, opalił skrzydła i stał się osmolonym robakiem.

Zestawiając owo kobiety, przychodzimy do wniosku, że Rtiszczewa jest kobietą przyszłych pokoleń, Hanusia jest naturą pierwotnych czasów ludzkości i przy szczęśliwych okolicznościach nie obdarzy rodu ludzkiego wyrodkami. Zaś Kromierzycka i podobne są to panie obecnej chwili, matki zwyrodnienia.

Zatrzymam jeszcze uwagę czytelnika przy utworze Bellamy'ego: „Sposób d-ra Heidenhoffa..." I tutaj widzimy dzieje podobne do wyżej opisanych. Bohaterka podążyła drogą Hanusi, tj. rzuciła się nieoględnie w objęcia mężczyzny i zginęła marnie.

A jednak — mogłaby nie zginąć. Na głowę Hanusi sypały się same nieszczęścia i poniewierki, zbłąkaną zaś Magdalenę Bellamy'ego odszukuje młodzieniec oddany jej całem swojem istnieniem, stara się ją pocieszyć, ożywić i błaga, ażeby zapomniała o nieszczęściu i żyła dla niego, oddała mu rękę i serce. Prożby jego obudziły duszę umarłą — pokochała; lecz zrozpaczona, że nie może obdarzyć narzeczonego — jak na to zasługuje — uściskiem niepokalanego dziewictwa, zabija się... I pięknie i głupio! Zresztą, kobieta, która mniema, że całym jej urokiem jest uścisk niepokalany i tym sposobem, wtłaczając duszę nieśmiertelną w ciało, nie umie pogardzić etyką tłumu, co ją zdeptał, chyba nie zasługuje na lepszą dolę. To też Bellamy, zmuszając ją zabić się, postąpił nader słusznie. Zasady Magdaleny są następujące: jeżeli złodziej mię okradł, nie powinienem pracować, oszczędzać, szukać dobrobytu, jeno powiesić się—wspaniały morał!

Pytanie: coby się stało, gdyby pierwszy kochanek Magdaleny nie opuścił jej, lecz ożenił się i po kilkoletniem szczęśliwem pożyciu przeniósł się do wieczności, a ta będąc wdową, pokochała z czasem innego, czyby się zabiła z rozpaczy? Chyba nie — chociaż owym uściskiem dziewiczym nie mogłaby go udarować. Stąd widzimy, że jest to dziecię tłumu, który ją zdeptał, nie dziw więc, że podnieść się sił nie miała.

Po co tedy Bellamy wyprowadza na życiową scenę tak niefortunną, nielogiczną bohaterkę? Rzecz prosta i jasna. Autorowi powieści chodziło o pewną tendencyę. Sposób d-ra Heidenhoffa zależy na tem, aby za pomocą hypnotyzmu zniszczyć w człowieku przykre wspomnienia, odnowić uczucia; a ponieważ ów sposób był snem tylko, Magdalena nie mogła pozbyć się widma — i musiała zginąć. Zagłębiony w swej wielkiej idei zapomnienia i przebaczenia, autor, nie tworzył bohaterki, przystosowywał ją do danej okoliczności, to też zrobił maryonetkę.

Zauważmy, że Sienkiewicz tak samo postąpił ze swą Anielką, a nawet z Kromierzyckim; są to manekiny niezbędne dla uwydatnienia człowieka „bez dogmatu," to też o ich wnętrze nie chodziło mu wcale, nie dziw więc, że są istotami koszlawemi. Toż samo możemy powiedzieć o bohaterce hr. Tołstoja — cały czas pozostaje ona w cieniu, więc co się dzieje w głębi jej duszy, nie widzimy. A. Szymański natomiast bacząc przedewszystkiem na bohaterkę, zapomina, że dogmatyk, który chciał ją uratować, jest postacią niewyraźną, zastosowaną do okoliczności. I tylko Szeller potrafił oświecić męża i żonę jednakowem światłem... Czy jasnem — to do nas nie należy o zaletach bowiem i wadach tych powieści, o ich znaczeniu dla literatury, o tem, czy autorowie dowiedli swych tendencyj, nie mówimy. Naszym zamiarem było: zbadać bohaterki nowoczesnych pisarzów słowiańskich, w świetle życia rodzinnego.

Tuszymy, że autorowie przebaczą nam tę małą wycieczkę w krainy, zamieszkane przez dziatwę ich ducha.

N. B.

LITERATURA FRANCUSKA.

Egzotyzm i literatura przyszłości. Piotr Loti. *Au Maroc*. Paryż 1890.

Burżuazya wraz z idealną nienawiścią do pieniędzy czuje od czasu do czasu potrzebę ucieczki od „wielkomiejskiego zepsucia," aby się pogrążyć w potoku „cnót wiejskich." W krajach młodych i zacofanych sielanka ta ma jeszcze niezły popyt. Często słyszycie tam, jak pisklęta, wystawiając dzióbek ze skorupy, którą dopiero co przełupały, wołają z komicznym zapałem: „czas już położyć koniec temu wyrafinowaniu, temu przerafinowaniu kultury!" Stąd do powrotu na łono przyrody i do zachwytów „paysanem," noszącym czerwoną wstążeczkę na szyi i nurzającym się aż po czubek w potoku cnót wszelakich, krok tylko jeden. Jeżeli wszakże w krajach, które kultura zlekka tylko liznęła, spory o to, czy „chłop jest socyalistą z urodzenia," są jeszcze możliwe, to w Europie wzbudzają tylko śmiech szyderczy. Już w końcu przeszłego stulecia „człowiek prosty" był tak wspaniały, iż sielanki Rousseau'a budziły w Voltaire'ze chęć „łażenia na czworakach." Obecnie pobłażliwa ironia znakomitego satyryka uznana jest powszechnie za najpogodniejszy optymizm. Obecnie wszyscy się przekonali, iż chłop jest „od urodzenia" tylko najgorszego rodzaju drobnym posiadaczem. Największa ilość cierpień, uniżenia i ciemnoty w tej właśnie sferze się kryje. Przeto już „paysan" zasługuje na współczucie, a zarazem na jaknajwiększą sumę starań, aby go z obecnego piekła wyprowadzić. Śmiechu zaś tylko wart jest ten dziwoląg, który idealiści *a la* Rousseau w wolnym czasie — a mają go dużo — zeń wytworzyli. Jeżeli ktoś z tego nieszczęśliwca, ciemnego, nieokrzesanego chce zrobić koronę społeczną, z tej podstawy reakcyi — dźwignię postępu, to możnaby go było posądzać o urąganie nędzy, gdyby to nie była zwykła głupota. Ale we Francyi szeregi chłopomanów coraz bardziej się przerzedzają. Z wyjątkiem Ferdynanda Fabre'a i kilku innych pisarzów reakcyjnych nikt już sielanki wiejskiej nie maluje, a Zola dał nam powszechny wyraz poglądów na tę kwestyę w swej „Ziemi." Chłop przedstawiony tu jest, jako dwunożny zwierz, głupi, zacofany i chciwy, przykuty do drobnego szmatka ziemi, za obręb której jego wzrok duchowy nigdy nie wybiega.

A jednak burżuazya po trudach „oszczędzania i nagromadzania" kapitału czuje potrzebę odetchnięcia w jakiejś Arkadyi. Z chwilą, gdy ta z Francyi ostatecznie się ulotniła, dusza kapitalistyczna — w swych dążeniach do ideału — skazana została na pokutowanie po rozmaitych dzikich krajach, których powaby zwiększają się w miarę oddalenia. Stąd początek t. zw. „egzotyzmu" w literaturze francuskiej. Jakiś „Ślimak" wzbudziłby wśród paryżan tylko śmiech homeryczny, gdybyście nawet przysięgali, iż on istnieje w zapadłym kącie Europy. Ale pomieśćcie tego samego „Ślimaka" gdzieś na Tahiti, w okolicach Honolulu, albo, jeszcze lepiej, w Ziemi Ognistej, nawet paryżanin chętnie sprobuje „zbudować się" widokiem jego cnót różnorodnych, zwłaszcza po dobrym obiedzie, gdyż tego rodzaju „Raj utracony" jest nieoceniony dla trawienia.

W miarę tego, jak wiadomości geograficzne o pewnych krajach otaczają się coraz gęstszą mgłą, „wyrafinowany" burżua coraz chętniej przenosi do nich swe marzenia o Arkadyi. Loti właśnie zachwyca się „indyaninem" — to nieszczęsne stworzenie z ekonomii politycznej, po której się dotychczas błąkało, przenosi się obecnie do literatury — tylko że ten „indyanin" nosi już fuzyę w ręku i w kieszeni od kamizelki bodaj czy nie weksel na swego sąsiada. Dla Lotiego pozostał on czystym i niewinnym, jak łza i obdarzonym wszelkiego rodzaju doskonałościami. W *Le Mariage de Loti* autor przenosi nas do Tahiti. Wyspa ta jakimś cudem widocznie wyjęta została z pod przekleństwa, jakie dotknęło ludzkość po grzechu Ewy. Niema tam ani występku, ani zbrodni, ani nędzy, ani nawet pracy. Żywność rośnie gotowa po lasach, a mieszkańcy tej szczęśliwej krainy siedzą po całych dniach przed miluchnemi chatkami i „kontemplują" wspaniałość otaczającej przyrody, albo też wewnętrzne swe doskonałości. W „Azyiade" znowu autor tak się przejął pięknością cywilizacyi tureckiej, iż wstępuje w szeregi padyszaha podczas ostatniej wojny z Rosyą i ginie w obronie Koranu. Podobnež banialuki znajdujemy i w innych dziełach jego, lecz reakcya przeciw naturalizmowi jest tak wielka, iż zbiedzona myśl mieszczaństwa w braku czegoś lepszego chwyta się za ten egzotyzm z namiętnością.

Ale oprócz gustów publiczności jest jeszcze jeden czynnik, który się przyłożył do wytworzenia tego kierunku. Rozbierając niedawno znany romans Roda „La course à la mort," widzieliśmy dekadenta, chcącego uciec od „wyrafinowania serca i myśli" do takiego kraju, gdzieby można było „ręką dotykać krawędzi swych żądz." Loti doprowadza właśnie w swych romansach ten ideał do skutku. Jego bohaterowie nie są w stanie zrozumieć tych cierpień i zadań, które nurtują łono ludzkości, wola ich jest zbyt rozluźniona, aby mogli dążyć do urzeczywistnienia ich — trzeba się więc uprościć, „il faut de simplifier" — oto hasło współczesnych Hamletów. Jest to w świecie moralnym takież same zjawisko, jakie w przyrodzonym widzimy na krecie, który niewątpliwie kiedyś posiadał wzrok, ale dzięki ciągłemu odwracaniu się od światła, zatracił go. I rzeczywiście bohaterowie Lotiego, uciekłszy na łono natury pierwotnej, czynią swem zadowoleniem wrażenie szczurów w serze; prowadzą oni czysto bydlęce życie, zredukowane do najprostszych funkcyi i czynią je tak dobrze, jak „kulturni ludzie" Szczedryna ze „Współczesnej idylli," którzy długą tresurą, polegającą na odpędzaniu od siebie wszelkich idealnych czynników życia, doszli do takiego stanu, iż słysząc wyrazy „myśl, sprawiedliwość, wolność," tylko mrugali oczami, chcąc napróżno zrozumieć, co znaczą te słyszane przez nich kiedyś słowa. Loti daje nam najszczytniejszą apoteozę tej właśnie „Idylli." A pocieszne są jego urazy do cywilizacyi i wyrafinowania. Jeżeli z całego współczesnego postępu na kimś głównie odbił się rozwój szynków i tancbud — a takimi są właśnie wszyscy rozczarowani z mieszczaństwa — to powierzchowna ich krytyka może z łatwością znaleźć na około siebie masę materyału do paszkwilu na cywilizacyę. Szczęściem cywilizacya nie kończy się ani na „modernizmie" Goncourtów, ani na „egzotyzmie" Lotiego, ani na dekadentach. Na nich skupiły się tylko wszystkie promienie kanałów tej cywilizacyi. Jest to zwykłe pijaństwo, zwykła rozpusta i zwykła blaga, które nawet z wyrafinowaniem — koniecznym skutkiem długoletniego rozwoju — nic wspólnego nie mają. Nieszczęśliwy filister wyobraża so-

bie, iż jest wyrafinowany i wyższy nad cywilizacyę, gdy ją poznał ze strony cafechantantów i domów publicznych. Wówczas nawyciera trochę dzikich kątów świata, nabałamuci trochę dziewcząt w Turcyi, Tahiti, Persyi, itd. i to go leczy z „weltschmerzu.“ Ostatecznie zaś nie skończy on na żadnej odludnej wyspie „gdzie wiatr będzie bielił jego kości,“ ani też w walce za Koran, lecz porządnie i posażnie ożeni się, sięgać będzie po palmy i galony akademickie, jak to obecnie czyni „wyrafinowany“ Loti.

Właściwie mówiąc, ani w „analizie,“ ani w „wyrafinowaniu“ niema nic złego. Przeciwnie, są to zjawiska wspaniałe i konieczne. Prus w swych drobnomieszczańskich ramotach wystawia ideał: „Bóg i prosty człowiek“ *). Komplimenty Bogu pomijamy, gdyż nie chcielibyśmy stawiać zbytnich wymagań, któreby mogły odstręczyć wydawców. Ale co do „prostego człowieka,“ to niechże nas nieba uchronią od tego specyału! „Alles was jetzt steht, ist werth, dass es zu Grunde geht.“ Niema nic, na czem moglibyśmy przystanąć i zawołać: „trwaj chwilo“! Jeżeli zaś utkwimy wzrok w przyszłości, to tam znajdziemy tylko komplikacyę i wyrafinowanie. Chwila obecna wytwarza nowy typ ludzki, który będzie syntezą długoletniej cywilizacyi, w którym rozwoj naukowy, estetyczny i moralny harmonijnie się wiążą, w którym bezgraniczna analiza łączyć się będzie z żywo tętniącemi pulsami namiętnej woli. Jakież otchłanie wyrafinowania tu się kryją i jak mizernie wobec niego wygląda Loti! Posłuchajcie jego wyznania wiary: „Sułtanowi marokańskiemu jestem wdzięczny, iż nie chce ani parlamentu, ani pracy, ani kolei żelaznych. Uwielbiam jego spokojną pogardę dla dążeń współczesnych; sądzę wraz z nim, iż wiara dni przeszłych, która wytwarza męczenników i proroków, powinna być przechowana. Na co zadawać sobie tyle trudu, aby wszystko zmienić, aby zrozumieć i posiąść tyle rzeczy nowych, jeżeli trzeba umrzeć? Zachowujmy raczej tradycyę naszych ojców, która zdaje się przedłużać nasze istnienie, łącząc nas głębiej z ludźmi, którzy przeszli i którzy mają przyjść. Żyjmy bez troski o jutro ziemskie w niewyraźnym śnie o wieczności i niechaj stare ściany pękają na słońcu letniem, niechaj trawa rośnie na naszych dachach, niechaj zwierzęta gniją na miejscach, na których padły. Porzućmy wszystko i rozkoszujmy się tylko przejściowo rzeczami, które nie oszukują: ładnemi końmi, ogrodami i zapachem kwiatów...“ **). Wyrafinowanie burżuazyi dochodzi więc w ostatecznym swym rezultacie do takiego uproszczenia, jakie widzimy na kretach.

Istnieje przesąd, od czasów Hamleta, jakoby „analiza“ tępiła, rozpuszczała wolę. Dostojewski, Bourget i inni psychologowie rozwijali ten właśnie typ i można śmiało twierdzić, że zasadniczo nie dodali doń nic, czegoby już Shakespeare nie powiedział. Typ ten istniał, istnieje i długo jeszcze istnieć będzie. Ale obok niego niektóre utwory literackie naszego stulecia wystawiły nam ludzi, w których analiza, nieznająca krańców, łączy się z żelazną wolą. Na pierwszym planie musimy tu postawić Stendhala, który swoim Julianem Sorelem (w „Rouge et Noir“) odkrył nowe zupełnie widnokręgi w literaturze i psychologii. Podzielamy w zupełności zdanie tych krytyków, którzy uważają, iż dzięki temu utworowi można Stendhala rozpatrywać jako najgenialniejszego przedstawiciela literatury francuskiej z bieżącego stulecia. Autor ten wyprzedził swój czas o całych lat 60, gdyż typ przezeń wytworzony wydawał się dotychczas fałszywym i niemożliwym. Przez cały ten okres człowiek, który tak analizował, jak Sorel, mógł być tylko Roskolnikowem lub Robertem Greslou, nie mówiąc już o całej plejadzie romantyków i stękających dzieci „weltschmerzu.“ Stendhal pierwszy pokazał, iż analiza Hamleta może się łączyć z żelazną wolą Napoleona. Słabiej daleko tenże typ nakreślił Turgeniew (w Bazarowie), a najsłabiej Spielhagen (w Leo, który szwankuje pod względem analizy, tak samo jak Bazarow — pod względem czynu).

Sądzimy, iż za czasów, gdy Shakespeare pisał Hamleta, istotnych przedstawicieli tego typu jeszcze nie było: dramaturg angielski wyprzedził swój czas o dwa blisko stulecia, Stendhal wyprzedził go tylko na lat sześćdziesiąt. Warunki potrzebne dla Sorela ukazały się dopiero obecnie w chwili syntezy społecznej, gdy potrzebne są siły twórcze, wola. Ale Sorel już przeszedł przez szkołę analizy i ona pozostawiła na nim niezatarte ślady. Dajcie Julianowi zamiast karyery ideał społeczny i ogólnoludzki, a będziecie mieli typ przyszłości, słup kręgowy przyszłej literatury, do którego ona napróżno się dotychczas modliła i który mógł się zjawić obecnie, gdy warunki dojrzały. Nad kwestyą tą, do której powrócimy wkrótce, rozbierając nowe dzieło Roda, dłużej tu zastanawiać się nie będziemy. Chcieliśmy tylko dosadniej pokazać, jak marne znaczenie mają bohaterowie Lotiego: na rozwój literacki typ przezeń wysunięty nie może mieć żadnego wpływu.

Zastanawialiśmy się dotychczas nad stroną socyologiczną i psychologiczną dzieł tego pisarza. Przejdźmy obecnie do estetycznej. Pod tym względem „egzotyzm“ nic oryginalnego nie przedstawia. Jest to wskrzeszenie tych motywów, które Byron pierwszy potrącił i które następnie jego naśladowcy — głównie Słowacki i Lermontow — daleko lepiej opracowali, niż to obecnie czyni Loti. I jego nęci wschód i on czuje się synem Arabii, dzieckiem dzikich stepów, lubi odpoczywać pod promieniami palącego słońca w otoczeniu drzemiących wielbłądów itd. Ale i pod tym względem rzadko daje on nam coś oryginalnego: od czasu do czasu tylko znajdujemy jakiś silniej nakreślony obraz bezbrzeżnej przestrzeni, rozhukanych żywiołów lub religijnej ciszy. Dziewięć dziesiątych każdej książki jest tylko rozwałkowaniem takiego obrazka.

Drugi środek, za pomocą którego Loti wywołuje efekty, polega na Homerowem powtarzaniu niektórych epitetów; tak np. dziewczynę, z którą na Tahiti mieszka, nazywa ciągle: „mała Rarahu z okręgu Apire,“ albo też „mała, dzika żonka Lotiego.“ Nareszcie jeszcze jedna sztuczka polega na naiwnem szczebiotaniu, które ma odtwarzać pierwotnego człowieka, a w rzeczywistości odtwarza tylko Robinsona Cruzoe. Zresztą bywają ludzie, którzy zachowali tak pacholęcą wrażliwość, iż są w stanie się zachwycać jakąś falbanką smakowicie namalowaną. Czemuż by się nie można było i temi sztuczkami jeszcze zachwycać?

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

20 marca.

Korespondencya Fryderyka Hebbla.

Fryderyk Hebbel, najcelniejszy po Goethem poeta niemiecki, przez Grillparzera jednego prześcigniony pięknością formy, ale wszystkich prześcigający bogactwem myśli, doczekał się wreszcie owych oznak czci ze strony historyków literatury, które słusznie mu się należą. Niebawem po wyjściu obszernej jego biografii, napisanej przez Kuha, a wydanej przez wiedeńską firmę Braumüllera, nakładca berliński Grote postarał się o zebranie korespondencyi Hebbla i ogłasza obecnie tom jej pierwszy. Obok pamiętników, korespondencya ta najbardziej ułatwia poznanie poety, jakim był w życiu; cechuje ją prostota, przypominająca rozmowę ustną, a według tradycyi Hebbel mówiący przewyższał znacznie piszącego.

Listy jego adresowano są do siedemdziesięciu osób. Na wstępie poznajemy korespondencyę szesnastoletniego poety, służącego w miasteczku Wesselburen jako kancelista, z kolegą Heddem, pisarzem parafialnym. Przykuty do taczki, młodzieniec olśniewał jednak wszystkich ówczesnych towarzyszów błyskami talentu, tem samem jednak zrażał sobie przełożonego, który nie cierpiał poezyi. Wtedy ogłaszał poezye i nowele w tygodniku mód, wydawanym przez wdowę Schoppe w Hamburgu. Pani Schoppe widząc, iż utwory te cieszą się uznaniem, zebrała paręset marek, aby młodemu pisarzowi ułatwić odbycie studyów. Hebbel przybywa do Hamburga, mając 22 lata życia. W ciągu jednego roku uzupełnia swe studya gimnazyalne, posługując się oryginalną metodą. Języka łacińskiego uczy się, czytając odrazu autorów, przy pomocy słownika i gramatyki. Podobnie wyuczył się później francuskiego i włoskiego. Lecz niebawem doszedł do przekonania, że brak mu przedewszystkiem dokładnej znajomości języka rodzinnego, że wogóle mało tylko pisarzów niemieckich dobrze nim włada. Kształcił styl swój na Lessingu i na Janie Pawle, z których pierwszy przedstawiał dlań element czystego rozumu, drugi— pierwiastek szlachetnego polotu i wyobraźni.

W Hamburgu nawiązał też stosunki z kobietą, niedorastającą doń umysłowo, lecz otaczającą go najtroskliwszą przyjaźnią. Pani Schoppe najęła mu pokój u starej panny, Elizy Leming, posiadającej drobny mająteczek. Wysoka, chuda i brzydka Eliza zakochała się w młodym Hebblu, którego umiała zobowiązać sobie, lecz którego wzajemności osięgnąć nie mogła. Przez lat dziesięć trwał ten stosunek. Eliza wspierała młodego poetę materyalnie w sposób dziwnie delikatny: „Nikt może nie posiada geniuszu obdarzania, właściwego Tobie — pisze do niej Hebbel — lecz musiałbym postradać twój szacunek, gdybym dłużej zeń korzystał.“ Odwdzięczał się jej przyjaźnią i zaufaniem, aż do chwili osiedlenia się w Wiedniu, gdzie poznał słynną aktorkę Burgtheatru, którą następnie poślubił, dzielił się z Elizą wszystkiemi wrażeniami i myślami. Do niej zwraca się listownie w czasach akademickich, spędzonych w Heidelbergu i Monachium, jej opisuje stosunki z kolegami, którzy go uwielbiali, podobnie jak niegdyś pisarze wiejscy. Jednym z tych wielbicieli był Rudolf Ihering, słynny później autor „Walki o prawo“; najszczerszym zaś przyjacielem był niejaki Emil Rousseau, który zmarł młodzieńcem. Charakterystyczne są słowa, które Hebbel poświęca jego pamięci: „Był to najlepszy człowiek w świecie. Przez półtrzecia roku nie posprzeczaliśmy się. Nie moja to zasługa; tylko niebiańska łagodność i wspaniałomyślność jego przebaczyć mogła nikczemnemu talentowi mojemu do goryczy. Byłem tak nieczny, żem nigdy uznać go nie mógł jako równego. Ciągle podnosiłem meduzową tarczę prawdy... W ten sposób potęgowałem jego rozpacz wewnętrzną...“ Kiedy siostra zmarłego prosi go o wydanie jej poezyj brata, Hebbel wręcz odmawia: „W literaturze współczesnej mamy jeno dublety, a te są zbyteczne.“ Sam zaś, pełen wysokiego o sobie rozumienia, wszędzie przepowiada przyszłą swą sławę. Jeszcze jako kancelista myślał o swym biografie, a w 24 roku pisze do Elizy, że spogląda w lustro tylko w chwilach, kiedy myśli o swym portrecie, mającym zdobić niegdyś zbiorowe wydanie dzieł jego. Wreszcie rozpoczyna się czas sławy i powodzenia. Tragedya jego „Judith,“ przesłana przez panią Schoppe na ręce artystki nadwornego teatru berlińskiego, pani Czelinger, wy-

---

*) *Lalka.*

**) *Au Maroc*, str. III i IV.

stawiona została z powodzeniem. Król duński wyznaczył mu stypendyum na podróż dwuletnią. Hebbel udaje się naprzód do Paryża, zaopatrzywszy się w list polecający swego nakładcy Campego do Heinego. Ten przyjął go serdecznie, lecz umysły ich zbyt się różniły, iżby mogła między nimi powstać przyjaźń. Dla Heinego Hebbel był zbyt ociężałym i głębokim, dla Hebbla Heine płochym. „Heine zabija nieprzyjaciół swych dowcipami; przypomina on cesarza Heliogobala, który udusił gości fijołkami.“ Jednak niejedną miłą godzinę spędził u Heinego. „Heine wyraża się o mnie — pisze — wobec osób trzecich w sposób najkorzystniejszy: twierdzi, iż jestem jednym z największych poetów niemieckich. Jak widzisz, geniusz zawsze sprawiedliwy jest wobec równych sobie, półtalenty jeno niszczy.“

Podczas pobytu w Paryżu zmarł w kraju synek jego Maks. „Napiszcie na nagrobku jego: ukryłem się, szukajcie mnie; kto mnie kocha najbardziej, pierwszy mnie znajdzie.“ „Czem jest żal po dziecku ukochanem? Egoizmem, domagającym się dla siebie wyłącznie życia, które należy do całości świata i z całości tej nie znikło.“ Wszelki ból i śmierć wszelka wynika jedynie z indywiduacyi. „Nieskończona podzielność jest najokrutniejszą z myśli, a ona właśnie stanowi podstawę świata.“

Z Paryża udał się do Rzymu, który nie uczynił na nim wrażenia głębszego. „Paryż — pisze Hebbel w r. 1844 — to ocean życia, Rzym — to wyschnięte łożysko oceanu.“ Niemieccy artyści, żyjący w Rzymie, to zera, a uczeni nie różnią się od nich.“

Studya i wrażenia Hebbla w Paryżu i Rzymie nie były czystemi rozkoszami, gdyż nędza stanowiła nieodłączną towarzyszkę poety. Tej to okoliczności przypisywał, że dzieła jego były fenomenalnemi, lecz nie posiadały czystości kryształowej. Zdawało mu się, że twarde, przykre życie skoszlawiło w nim zmysł piękna. Lecz w Rzymie już przeczuwa zmianę, która zaszła w życiu jego, kiedy w r. 1845 przybył do Wiednia. „Gdyby mi szczęście zlekka tylko się uśmiechnęło, gdyby nędza i troska nie przybiły mnie, wówczas być może, że przyroda udzieliłaby mi jeszcze łaski niespodzianej: może wypowiedziałaby ustami memi nietylko to, co głębokie, lecz i to, co piękne. Nie nadarmo przybyłem do Włoch; zdaje mi się, że natura rozkłada mnie napowrót na pierwiastki i składa mnie na nowo.“ Lecz gorączkowe dążenie Hebbla do najwyższego w poezyi celu, połączone z niszczącymi wpływami życia, kruszy jego umysłowy organizm, tak, iż w swych najdoskonalszych utworach sam on upatruje jeno gruzy własnej wielkości. „Ten, którym jestem, pełen żałoby pozdrawia tego, jakim być mogłem!..“

Ladawa.

POEZYA.

SHELLEY.

ODA DO WIATRU ZACHODNIEGO.

I.

Zachodni wietrze, tchu jesiennej Pory,
Przed którym pierzcha, gdy mkniesz niewidziany,
Jak przed zaklęciem ulatują zmory,

Liść zżółkły, ogniem suchotniczym zlany,
By upaść martwy; ty, co oziminę
Wiedziesz na łoże śnieżyste, gdzie łany

Wypoczywają, jak te trupy sine
W grobach, bezwładne, aż w swój róg uderzy
Wiosna, twa siostra, w lazurów godzinę

I w ową ziemię, co uśpiona leży —
Do żeru ptactwo zbudziwszy po niebie —
Wleje swą barwę i swój zapach świeży:

Duchu wszechbytny, którego dłoń grzebie
I wskrzesza z mogił — słuchaj, wzywam ciebie!

II.

O ty, którego prąd, gdy drżą przestworza,
Zrywa, jak liście, szmaty chmurnych mgławic
Z chwiejnych gałęzi niebiosów i morza —

Są to anioły deszczu i błyskawic:
Na jasnem licu twej powietrznej fali,
Jak włos, rozczochran nad czołem tych krwawic,

Menad — gdy skroń ich płomieniem się pali —
Rozwiewa burza, krocząc, bujne sploty,
Że giną hen! aż w zenitowej dali!

Ty skargo roku, co z swymi obroty
W grobie tej nocy dzisiejszej się grzebie:
Z mgieł i wyziewów rozpięte namioty

Ponad nim w deszcz się rozpękną na niebie,
W grom i błyskanie — słuchaj, wzywam ciebie!

III.

Ty, co Śródziemne budzisz morze, wo śnie
Tulące letnim spienione swe moce
Przy szumie wałów, co nucą mu pieśnie

Pośród pumeksów w bajońskiej zatoce —
We śnie patrzące, jak gród stary, w szczyty
Pałaców strojny, w dnia tych fal migoce,

Mchem lazurowym i kwiatem pokryty,
Jakiego żadne rojenia nie znały;
Ty, pod którego stopami błękity

Atlantykowe łamią się w kawały,
Kiedy las błota, który chłonie w siebie
Zwiędły kwiat morski, na głos twój drży cały,

Drży i bieleje z przestrachu i grzebie
Piany w swem wnętrzu—słuchaj, wzywam ciebie!

IV.

Gdybym był listkiem, igraszką twej dłoni;
Gdybym był chmurką, by mknąć drogi twemi;
Falą, co czuje i dzieli wśród toni

Morskiej twą władzę, tylko mniej rwącemi
Obdarzon skrzydły, o niepowściągniony!
Gdybym, jak ongi w chłopięctwie, mógł z ziemi

Wznieść się ku tobie w te niebieskie strony
I spieszyć razem, jak wówczas, gdy niczem
Zdawało mi się prześcignąć twe gony,

Nie łkałbym tutaj bolesnem obliczem!
Jak liść mnie zabierz! jak falę! jak chmurę!
Kończę pod życia ciernistego biczem!

Ciężar chwil ziemskich przełamał naturę,
Tak jak ty, dumną i rwącą się w górę.

V.

Niech się w twą harfę jak ten las przemienię,
Choć liść się ze mnie, jak z niego pozrywa...
Twoich melodyj przepotężne drżenie

Ów jesienny dźwięk nam z serc dobywa,
Słodki, choć smutny! Niekiełznany duchu,
Bądź moim duchem! Bądź mną, siło żywa!

W świat myśl mą zmarłą ponieś nakształt puchu
Tych liści zwiędłych, wieszczących radośnie
Dni zmartwychwstania... W rozpieśnionym ruchu

Roztrząś, jak popiół i skry ognionośne
Te moje słowa!.. Niechaj się rozszerza
Nad senną ziemią me proroctwo, głośne

Jak odgłos surmy. Gdy się zima zbliża,
Czyż nie podąża za nią wiosna chyża?!..

Z oryg. przeł. *Jan Kasprowicz.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Święto ludowe.

Lud miejski obchodzi swój karnawał podczas świąt wielkanocnych; ponieważ zaś cieszy się nim tylko przez dni parę i ma słuszniejsze prawo do zabawy, niż próżnujący panowie i jeszcze bardziej próżnujące panie, a ucztuje na świeżem powietrzu, więc mu wiosna wyrządziła ciężką krzywdę, zasypawszy jego salę balową, plac Ujazdowski śniegiem. Błoto nie pozwoliło gromadom, według zwyczaju, rozsiąść się na trawie i spożyć „święcone,“ pojeździć na karuzelach i młynach djabelskich, wogóle zakosztować tych wszystkich rozkoszy, które daje pogodna Wielkanoc. Pomimo chłodu i szarugi łaknący rozrywki tłum zgromadził się na placu, szedł oglądać dziwy w budach po moście, rzuconym przez kałuże błota, używał huśtawek i młynów, ale z murawy korzystać nie mógł. Nie wynagrodził sobie straty w dniach następnych. Niewyczerpany i przysłowiowo kapryśny marzec sypie coraz nowe zapasy śniegu, który w ciągu paru godzin tworzy krajobraz zimowy i znowu się ciepłem roztapia. Ta zmienność temperatury i powietrza wobec silnej pochopności ludu do zabaw budzi obawę, czy zwykło o tej porze choroby nie rozpostrą się szerzej. Przejadanie się zimnymi pokarmami po długim poście, nadmierne picie, zaziębienia, zwłaszcza u dzieci, wystawionych na wilgoć i zimno — wszystko to opróżnia sutereny i poddasza, a zapełnia groby. Ilość ofiar stanowczo jest zależna od pogody wielkanocnej, która w tym roku zupełnie zawiodła. Bodajby nie odczuły tego cmentarze.

Kąpiele ludowe.

Anegdota opowiada, że pewien żyd rozmyślał nad takiem zagadnieniem filozoficznem: po co ludzie myją ręce, kiedy nóg *nigdy* nie myją? Nasz chłop nie codzień obmywa twarz, a całe ciało tylko w kąpielach rzecznych. Gdzie zaś niema wody lub stawu, tam ciało ludu w ciągu lat wielu nie styka się z wodą, chyba podczas ulewnego deszczu. Można więc śmiało rzec, że jesteśmy narodem rzetelnie brudnym i gdyby znane wyrażenie Buckle'a, że wysokość cywilizacyi mierzy się ilością zużytego mydła, było prawdziwe, należelibyśmy do barbarzyńców. Ale chociaż mydło nie jest jedynym wykładnikiem kultury, stanowi pewien jej dowód. Dość zbadać nasze chaty włościańskie, nory żydowskie, ulice i domy miast małych, a nawet wielkich, ażeby się przekonać, że o czystości niemców, francuzów, szwedów, szwajcarów i wogóle narodów oświeconych nie mamy najmniejszego pojęcia. Brudy odbijają się na naszych uczuciach estetycznych i na naszem zdrowiu. Zwłaszcza zaś klasy niższe grzęzną w nich i marnieją z jakąś zwierzęcą obojętnością. Od lat kilku rodzą się projekty usunięcia tej plagi za pomocą rozmaitych środków, a między innymi kąpieli. *Gazeta świąteczna* podjęła myśl wprowadzenia łaźni ludowych. Przed tygodniem znowu w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu odbyła się narada nad urządzeniem w Warszawie tanich kąpieli. Jedni zalecali wanny, drudzy natryski. Większe uznanie zyskały ostatnie, jako zużywające mniej czasu i wody, a więc tańsze, oraz zapewniające większą czystość. Jednocześnie p. Bloch ma podobno uczcić pamięć nieodżałowanego Chałubińskiego założeniem kąpieli ludowej jego imienia. Wobec ożywienia się dobrych chęci w tej sprawie, miejmy nadzieję, że ona nie pójdzie drogą wielu naszych projektów ku zapomnieniu, lecz przyrośnie do gruntu bodaj częścią ujawnionych zamiarów. Myjmy się i kąpmy co prędzej, bo za zbyt już porośliśmy brudem. A kto wie, ile złego zniknie z tym porostem. *Z.*

Koniec emigracyi.

Pod takim tytułem pisma ogłosiły telegram z Hamburga p. Glinki i ks. Chełmickiego, którzy z pewnym zasobem pieniężnym wyjechali do Brazylii dla udzielenia pomocy wychodźcom, pragnącym wrócić do kraju. Według tego doniesienia rząd brazylijski uwiadomił towarzystwo przewozowe „Lloyd,“ ażeby nie przyjmowało na swe

okręty emigrantów z Królestwa, gdyż nie są pożądani i nie będą przyjęci. Co wywołało zatamowanie przypływu — nie wiemy; niedawno jednak zwracaliśmy uwagę na korespondencye gazet zagranicznych, uwiadamiające, że rząd brazylijski, zatrwożony niezadowoleniem i wrzeniem naszych wychodźców, których oszukano kłamliwemi obietnicami, radby się pozbyć tego żywiołu, a przynajmniej powstrzymać jego przyrost. Być więc może, iż ta okoliczność skłoniła go do wskazówki udzielonej Lloydowi. Jednocześnie objawił się z wielu stron potwierdzony spadek gorączki emigracyjnej śród ludności naszej, która niedawno jeszcze wierzyła bezwzględnie wszelkim baśniom. Zapewne wpłynęły na to w pewnej mierze pisma peryodyczne, broszury i perswazye ustne, ale najbardziej — jak to przepowiadaliśmy odrazu — listy nadchodzące z Brazylii i opowiadania emigrantów, którzy wrócili do kraju. Te niepodejrzane dla ludu w swej wiarogodności świadectwa uśmierzyły szał najskuteczniej. Pp. Glinka i Chełmicki mają pomnożyć liczbę takich przekonywających dokumentów. Życzymy im lepszego powodzenia, niż je osiągnął p. Dygasiński, który przywiózł z sobą tylko wiązkę wrażeń i tematów powieściowych. Nie jego to podobno wina, jeżeli dano mu na drogę istotnie tylko sześćset kilkadziesiąt rubli; ale tu chodzi nam o wagę rezultatu. Nowi delegaci, sami ludzie majętni i funduszem ofiarnym zasileni, mogą lepiej spełnić swoje zadanie, tembardziej, że ono już zostało wyraźnie określone. *O.*

Stacya oceny nasion.

Pożyteczna ta pracownia, urządzona przy Muzeum przemysłu i rolnictwa, pod kierunkiem dr. Sempołowskiego, ogłosiła doroczne sprawozdanie, a w niem krótki rys swej dziesięcioletniej historyi. Dziwna ta notatka. Gdzieindziej pracownia taka albo wykazałaby po pewnym czasie stały rozwój, albo stały upadek. U nas, w społeczeństwie kapryśnem, występuje inny objaw: stacya ma mniej lub więcej zajęć — bez żadnej widomej przyczyny. Bo dlaczego np. w roku 1882 — 3 dokonała 768 prób, w 1884—5 zaś 642, a w 1889—90 tylko 456 tego nikt objaśnić nie zdoła. Poprostu w jednym roku ludzie więcej dbają o naukową ocenę używanych nasion, w drugim — mniej, zależnie od fantazyi, pamięci i kilku rubli. Logicznie zdawałoby się, że taka ocena najpotrzebniejsza jest tym, którzy zajmują się produkcyą zbóż — rolnikom. Tymczasem Sprawozdanie powiada: „W przeciągu 10 lat zbadała stacya ogółem 5696 prób; 4456 nadesłały składy, a tylko *1240* pochodziło od rolników.“ Dziwni z nas ludzie! Kupujemy rzeczy na wiarę sprzedawcy i nie jesteśmy nawet ciekawi za małą opłatą dowiedzieć się, czy zamiast koniczyną nie obsiejemy pola kanianką! *G.*

Siewca wiedzy.

Gdyby jakiś Brennus kazał nam zapłacić kontrybucyę pieniędzmi i ludźmi, oddalibyśmy mu furę powieściopisarzów, poetów, aktorów, „chwał naszych“ i t. d., ale ukrylibyśmy lub wyprosili, ażeby nam zostawiono p. E. Jankowskiego. Jest to bowiem niewątpliwie jeden z najpożyteczniejszych ludzi w kraju, nieoceniony i niezmordowany siewca zdrowych ziarn wiedzy, która plonuje korzyścią jednostek i dobrobytem ogółu. W specyalnem swem piśmie, w dziennikach szeroko rozpowszechnionych, w książeczkach ludowych, w książkach dla warstw oświeconych, w odczytach publicznych i pogadankach Towarzystwa ogrodniczego krzewi on ciągle naukę ogrodnictwa, hodowli drzew, kwiatów i warzyw, budząc w społeczeństwie zamiłowanie do tej pracy i wskazując jej materyalne korzyści. Kraj nasz na uprawie zbóż samych poprzestać nie może i musi przejść w epokę gospodarstw przemysłowych i ogrodniczych. Jeżeli zaś ta zmiana dokona się pomyślnie, zawdzięczać ją będziemy głównie p. Jankowskiemu. Szereg książek, które w tym celu wydał, jest prawdziwym skarbczykiem objaśnień naukowych i rad praktycznych. I oto znowu dał nam *Ogrodnictwo przemysłowe*, w którem mówi o przemyśle warzywnianym, o roślinach aptekarskich, hodowli nasion, szkółkach drzew, owocach, sposobach i drogach zbytu itd. Nietylko zaś uczy zasad uprawy i hodowli, ale informuje, jak trzeba opakowywać owoce, jakimi pociągami i dokąd wysyłać, ile za przewóz płacić itd. Nie poprzestaje na teoryi, ale schodzi na grunt praktyczny i pamięta o każdym drobiazgu, o naszej niewiadomości i niedoświadczeniu. Jak troskliwy i przezorny nauczyciel odpowiada swoim czytelnikom na wszelkie możliwe pytania, uprzedza ich kłopoty, wskazuje najlepsze środki i najpewniejsze drogi. To też obecna jego książka, może w wyższym jeszcze stopniu, niż poprzednia, jest znakomitą i znaleźć się powinna we wszystkich rękach, dla których warsztatem pracy jest ziemia i ogród. *B.*

Artyści.

Można pisać wiersze, malować, wycinać figurki z drzewa i nie być artystą. Inna sprawa z aktorami: między nimi bowiem każdy jest artystą, chociażby tylko umiał na scenie meldować gości lub znosić dobitne wybuchy gniewu swego pana. Najniższy z rodzajów twórczości ludzkiej zapewnia wszystkim swym pracownikom najwyższy jej tytuł. Piątoklasista, który rozmiłowawszy się w aktorce, zbrzydził sobie szkołę i wstąpił do trupy wędrownej, skąd przeszedł na kancelistę magistratu; subjekt handlowy, który odegrawszy jakąś rolkę w przedstawieniu amatorskiem, uczuł w sobie powołanie aktorskie, rozczarowane po pierwszych próbach, rozmaite odmiany młodzieży, lubiącej życie bezładne, cygańskie, próżniacze, popasającej w teatrach — to także artyści. Złudzeniu temu ulega po części autor świeżo wydanych w Radomiu *Listów ex-aktora do ex-aktora*, p. K. Hofman. Przerwał studya uniwersyteckie dla włóczęgi z trupami prowincyonalnemi; nędza i zawody zmuszały go kilkakrotnie do opuszczania tych obozowisk, które porzucał z żalem, nieukojonym nawet dziś, kiedy wziął z niemi stanowczy rozbrat. Zaiste dziwne upodobanie! Do czego tęsknią te dusze, widocznie szlachetnym ogniem płonące? Do głodu, zimna, poniewierki, odgrywania hrabiów i książąt w szopach i stajniach? Zdawałoby się, że doświadczenia, które autor przebył, powinnyby ostudzić w nim najgoretszy zapał do „sztuki“; gdzie tam! Przecierpiał niedostatek, przechorował, ze skaleczoną nogą i pustym żołądkiem musiał chodzić kilka wiorst do budy teatralnej, jeździł z kolegą w jednym futrze z Lipna do Włocławka, gonił wiecznie rubla a nawet złotówkę — i mimo to w tem najnędzniejszem życiu znajdował jakiś urok! To prawdziwa sztuka ssania słodyczy z piołunu! *W.*

Nowa mogiła.

I znowu w prasie naszej otworzył się świeży grób, do którego zstąpiło *Życie* — tygodnik literacki. Dziwne nosił on miano: bo był raczej poezyą, belletrystyką, sztuką, a najmniej życiem. Sprawy bowiem polityczne wyłączył ze swego programu, a społecznemi nie zajmował się prawie wcale. Nie będziemy go sądzili surowo, gdyż on sam w przedśmiertnej odezwie ocenił się skromnie. „Znika *Życie* z powierzchni ziemi, zostawiając po sobie cztery roczniki, które były w tych ciężkich dla poezyi czasach schronieniem gościnnem dla wszystkich poetów swojskich; które zawierają kilka wybitnych oryginalnych utworów powieściowych; które wreszcie praktykę teoryą przeplatając, pomieściły w swych łamach szereg wytrawnych studyów krytycznych tak z naszego, jak i z obcego piśmiennictwa. Te roczniki, wzmianka w bibliografii i pamięć u dobrych ludzi — oto wszystko, co pozostanie po naszej działalności, co będzie stanowiło pamiątkę dla byłej od dnia dzisiejszego redakcyi *Życia*“.

W zgonie tego organu objawiło się wzrastające od lat kilku wycieńczenie umysłowe naszego społeczeństwa, które sparaliżowało handel księgarski i szerzy śmierć w prasie. Jest to pomór bardzo smutny, niemal groźny, tem bardziej, że niewiadomo, gdzie on się zatrzyma. Nie wszystkie pozostałe pisma peryodyczne mają zapewnione warunki życia. Wiele już walczy z suchotami, którym prędzej czy później ulegnie. Bo nie ustąpi ani bieda, ani bezmyślna rozrzutność, która każe wydać kilka rubli za wysłuchanie jednego popisu aktorskiego lub muzycznego, a żałuje ich na opłatę rocznej prenumeraty pisma peryodycznego. Rządźmy się tak dalej, a niedługo zejdziemy do jednego *Kuryerka* polskiego. *O.*

Własnym nakładem.

Z wyjątkiem H. Sienkiewicza i paru innych, których los wyposażył majątkiem dziedzicznym, wszyscy literaci nasi są biedni. Ciężką — ach, jak ciężką nieraz! — pracą zaledwie mogą wyżywić się z rodzinami. Dopóki wiek sił nie osłabi, mogą oni przewalać brzemię życia z dnia na dzień. Gdy jednakże starość się zbliży, a zdrowie odbiegnie — wtedy bieda bierze w swe objęcia poetów, powieściopisarzów i uczonych. Jedyną emeryturą, na którą liczyć mogą, jest zbiorowe wydanie pism na własne ryzyko. Nieraz mieści się prawdziwa tragedya w takiem przedsięwzięciu. Autor, zebrawszy najlepsze owoce swej długoletniej pracy, staje z nimi na rynku księgarskim i woła: kupcie i dajcie mi możność znośniejszego istnienia. Ileż razy ogół, który go oklaskiwał, przechodzi obojętnie, żałując grosza i poszukując świeżego towaru w kramach, przed którymi stoją i wabią publiczność krzykliwi reklamiści!

P. Klemens Junosza, powieściopisarz na przeciwległej nam niwie pracujący, ale wysoce utalentowany, rozpoczął druk wyboru swoich pism własnym nakładem w dziesięciu tomach. Po zakończeniu się tego wydawnictwa nakreślimy wizerunek autora szczegółowiej; dziś zaznaczamy tylko jego przedsięwzięcie, któremu, pomimo wszelkich różnic, życzymy pomyślnych rezultatów. Zasłużył na nie talentem i pracą. *O.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zarząd kanalizacyi i wodociągów warszawskich przedstawił p. prezydentowi miasta projekt kasy pożyczkowo-wkładowej i wsparć dla osób pracujących w biurze zarządu z prośbą o wyjednanie zatwierdzenia tej instytucyi u władz wyższych.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności postanowiło wysłać 20 chłopców sierot na kuracyę do Ciechocinka.

— *Graždanin* donosi o projekcie założenia w Petersburgu nowego Towarzystwa dobroczynności dla opiekowania się osobami, które przyjmą prawosławie.

— Pisma ruskie podają alarmujące wieści o rozwoju sekty sztundzistów w guberniach zachodnich.

— W tych dniach przed trybunałem lwowskiego sądu krajowego toczyła się charakterystyczna rozprawa karna przeciwko trzem, wykluczonym w maju r. z. uczniom gimnazyum stanisławowskiego, oskarżonym o zbrodnię obrazy religii. Akt oskarżenia zarzuca, iż należeli do tajnego stowarzyszenia, utworzonego przez uczniów obrządku grecko-katolickiego, uczęszczających do gimnazyum w Stanisławowie i że na zgromadzeniach swoich wyśmiewali religię i bluźnili Bogu. Winnych skazano: 17 letniego Wołyńskiego, ucznia 6-ej klasy i Rosiewicza (15 lat) ucznia 5 ej kl., na miesiąc aresztu, zaś 17 letniego Łukjanowicza (5 kl.) na sześć tygodni.

— W mińskim sądzie okręgowym rozstrzygano sprawę małżonków izraelitów Szulkinów, obwinionych o morzenie głodem dzieci nieprawych, branych niby na wykarmienie. Zabili oni mnóstwo dzieci i obchodzili się z niemi gorzej, niż Skublińska. Żonę skazano na lat 15, męża na 12 lat ciężkich robót.

Szkoły. Ministeryum oświaty poleca kuratorom okręgów naukowych, aby zwrócili uwagę zwierzchności średnich zakładów na konieczność urządzania internatów przy gimnazyach i progimnazyach, oraz przy szkołach realnych i przemysłowych dla uczniów, których rodzice muszą umieszczać na stancyach prywat-[illegible]

— Główne Towarzystwo kolei ruskich zamierza otworzyć szkołę telegrafistów, którymi następnie obsadzać będzie posady na wszystkich liniach towarzystwa. Do szkoły przyjmowani będą uczniowie, którzy ukończyli przynajmniej dwie klasy gimnazyum.

— Dzienniki petersburskie donoszą o projekcie utworzenia specyalnych kursów farmaceutycznych dla kobiet, na wzór odpowiednich kursów medycznych. Będą one otwierane przy uniwersytetach, posiadających wydziały lekarskie. Przyjmowane być mają kobiety od lat 16 tu do 40-tu, posiadające patent gimnazyalny lub równoznaczne świadectwo, po złożeniu egzaminu dodatkowego z łaciny i nauk przyrodniczych. Kobiety, które ukończyły trzyletni kurs praktyczny i teoretyczny, otrzymują stopień pomocnika prowizora i mogą wstępować do aptek. Od kobiet farmaceutów nie będzie wymagane uprzednie praktykowanie w aptekach, ponieważ najważniejsze wiadomości praktyczne nabędą w laboratoryach.

— Wykład gimnastyki wojskowej wprowadzony będzie obowiązkowo w przyszłym roku szkolnym we wszystkich zakładach rządowych.

— Urząd starszych zgromadzenia drukarzy warszawskich stara się o wprowadzenie w szkołach niedzielno-rzemieślniczych dla uczniów drukarskich wykładów języka niemieckiego i francuskiego.

Sprawy kolejowe. Kolej Nadwiślańska zaprowadzi imienne książeczki abonamentowe ze zniżką około 30% do stacyj: Wawer, Otwock, Pludy i Jabłonna. Nadto wprowadzone będą bilety z bezpłatnym powrotem dla osób jadących w soboty i wigilie świąt do Nałęczowa, a powracających w poniedziałki lub nazajutrz po święcie.

— Od kwietnia na kolejach Fabryczno-Łódzkiej i Terespolskiej obowiązuje ulga taryfowa za przejazd studentów niezamożnych i uczniów wyższych zakładów naukowych ze zniżką 75%. Korzystający z ulgi przedstawić powinni właściwe świadectwo.

— Na budowę kolei żelaznych w Persyi koncesyę otrzymali anglicy. Przedtem miała ją uzyskać spółka belgijsko-ruska.

— Z rozporządzenia departamentu kolejowego towarzystwo dróg Południowo-Zachodnich zniżyło taryfę na przewóz win besarabskich.

Zdrowie publiczne. Z wyznaczonej sumy 5,000 rs. rocznie na urządzenie w Warszawie ambulatoryów w rozmaitych punktach miasta i wydawanie bezpłatnych lekarstw ubogim, część wyasygnowana będzie dla ambulatoryów szpitalnych, celem powiększenia wydawania ilości lekarstw. Za pozostały fundusz urządzone będą w okolicy Koszyków i na Powiślu przy aptekach nowe ambulatorya.

— Komisye sanitarne zwróciły baczną uwagę na fabryki cukierków zwłaszcza drugorzędne, które do swoich wyrobów używają rozmaitych zapraw i zabarwień, zawierających pierwiastki trujące. W razie wykrycia różnych szkodliwych surogatów, fabrykanci, oprócz odpowiedzialności karnej, będą narażeni na zamknięcie swych zakładów, z zabronieniem dalszego wyrobu.

— W Niekłaniu, majętności hr. Platera, powstaje zakład hydropatyczny.

Konkursy. Kijowski zarząd miejski ogłosił wezwanie do warszawskich architektów i przedsiębiorców budowlanych o nadsyłanie przed 13 czerwca r. b. planów i dokładnych kosztorysów zimowego cyrku murowanego.

— „Lutnia" ogłasza konkurs na napisanie utworu poetyckiego w formie ballady, któryby następnie mógł być użyty jako tekst do chóru na głosy męzkie. Długość 40 wierszy, nagrody za trzy najlepsze utwory w złocie 20, 15 i 10 rubli: termin 1 maja r. b.

Przemysł i handel. W olejarni Strachla i Krinsa pod Będzinem robotnicy zaprzestali pracy z powodu zniżenia zarobków.

— We wsi Donosy (pow. pinczowski) otwarto fabrykę nawozów sztucznych.

— Fabrykanci maszyn złożyli ministeryum projekt kredytu melioracyjnego na maszyny rolnicze.

Wiadomości literackie. Sprzedaż pojedynczych numerów gazety *Nowoje Wremia* na nowo dozwolono.

Zmarli. Ks. Waleryan Serwatowski w Krakowie; autor wielu dzieł i cenzor ksiąg treści religijnej.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich **konkurs imienia Józefa Kuryerowa**, niegdy obywatela m. Warszawy z nagrodą pieniężną w kwocie rubli 360. Nagroda powyższa, stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na swojskim temacie i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższej kwoty na dwie nagrody, I-ą i II-ą, dla najlepszych z dzieł przedstawionych, oryginalnych i tematu swoj-[illegible] Dzieło nagrodzone zostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa winni nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednej rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-m a najdalej 15-ym marca 1892 roku, przy załączeniu własnoręcznie napisanej i podpisanej deklaracyi, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w której mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość gdzie i w jakiej szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 marca 1892 roku. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z tejże wycofane przez [illegible] ciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, par petite vitesse, i cła od obrazów z zagranicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, par petite vitesse, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki brutto, oraz cła, z wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ma honor prosić tych pp. członków, którzy wygrali w losowaniu r. z. obrazy i rzeźby i dotąd ich nie odebrali, aby przy zwrocie kustoszowi wystawy wygrywającego dowodu składkowego, raczyli pospieszyć się z odbiorem takowych z lokalu wystawy Towarzystwa lub wskazali dokładny adres, dokąd mają być odesłane, na koszt odbierającego — gdyż z powodu zapełnienia sal Wystawy nowoprzybywającemi dziełami sztuki, obrazy i rzeźby wylosowane wypadnie złożyć na składzie, a w takim razie Komitet nie może przyjąć odpowiedzialności za ich całość. Jednocześnie Komitet uprasza i pp. artystów, których dzieła wycofane z Wystawy, pozostają na składzie i nie są obciążone pożyczkami, o odbiór takowych w czasie o ile można rychłym, lub o wskazanie adresów, dokąd mają być odesłane.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Марта 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski